

Numer niniejszy jest owocem współpracy między redakcją „Nowej Kultury”, a czechosłowackim tygodnikiem „Literární noviny”, który przed dwoma miesiącami wydał numer poświęcony literaturze polskiej.

LITERÁRNÍ NOVINY
TYDENÍK PRO KULTURNÍ POLITICKÉ A UMĚLECKÉ OTÁZKY.



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 11 grudnia 1955 r.

Nr 50 (298) Rok VI

JAN PILARZ

redaktor naczelny „Literární noviny”

Przyjacielska rozmowa

Niedawno jedna z radzieckich dziennikarek zwróciła się do mnie, że patrząc na czeski kraj, na jego miasta i wsie odnosi się wrażenie, jakby to wszystko było dziełem rąk artystów, nie zaś prostych ludzi. Wydaje mi się, że w tym jej szczerym i bynajmniej nie tylko uprzejmym spostrzeżeniu uchwycyony został ważny rys czeskich dzieł narodowych: ogromny zmysł piękna i sztuki u naszego ludu oraz rewolucyjne znaczenie kultury przy kształtowaniu się naszego kraju i jego dzieł. Przytaczam tę myśl, w ostatnich czasach tak często powtarzaną przez naszych gości z zagranicy po to, aby na niej pokazać, że kształtowanie się pierwszego dziesięciolecia w odrodzonej Czechosłowacji przebiegało i przebiega pod znakiem nieustannych prób znalezienia właściwego stosunku do naszej wspaniałej spuścizny kulturalnej. W tych dziedzinach, gdzie potrafiliśmy mądrze i bez zaślepienia gospodarować naszą wielką postępową spuścizną, twórczo korzystając z niej i rozwijając jej podniety — tam odnosiliśmy zwycięstwo. I na odwrót — gdy w sposób oderwany od rzeczywistości wprowadzaliśmy pewne tezy — w przekonaniu, że przez samo wygłaszanie są one realizowane — spotykaliśmy się z niepowodzeniem.

Zjawisko to w całej rozciągłości odnosi się również do literatury i sztuki. Rewolucja kulturalna wywołała w naszym kraju niebywały wzrost potrzeb kulturalnych. Twórczość artystyczna tych lat przynosi bogaty plon i wywołuje nawet — jak nigdy dotąd — duże zainteresowanie za granicą. W porównaniu z podniesieniem materialnego poziomu życia w Czechosłowacji, które, zwłaszcza w ostatnich czasach, zyskało na barwności i bogactwie, w dziedzinie literatury i sztuki jesteśmy zapóźnieni i nie nadążamy w zaspokajaniu potrzeb społeczeństwa. Nie tylko dlatego, że zarówno literatura jak i sztuka nie ukazują w całej ostrości istotnych konfliktów naszej epoki, ale że często od nich uciekają do idyllicznych zaciszy. Toteż nasz wielki dorobek kulturalny — przeszłości, dzieła M. Alesza, J. Maseja, B. Smetany, A. Dvorzaka, B. Niemcewicza, J. K. Tyla, J. Nerudy, A. Jiraska, oraz dzieła twórców socjalistycznej kultury w okresie międzywojennym: S. K. Neumanna, J. Wolke, M. Majerowej, J. Fucika, I. Olbrachta, M. Pujmanovej spełniają o wiele intensywniej i skuteczniej zadanie wychowania społeczeństwa w duchu socjalizmu niż prace, które powstały w ostatnim dziesięcioleciu.

Chcę wyjaśnić przyczyny tego zjawiska, powtarzałbym prawdopodobnie rzeczy dobrze znane czytelnikowi polskiemu z diagnoz dotyczących niedomagań polskiej sztuki. Podobnie i nasza architektura nie potrafiła w okresie pierwszego pięciolecia stworzyć poważnego stylu naszej epoki i „wzboğaciła” nasze miasta tysiącami domów, które noszą wyraźne piętno utylitaryzmu. Podobnie naszej plastyce poważnie zagrażał opisowy naturalizm „produkcyjnych” płócien tematycznych”, dzieła literackie zaś mierzy się często miarą skuteczności w codziennej propagandzie politycznej albo stopniem bezpośredniego oddziaływania na racjonalizację procesów produkcyjnych. Nie są to oczywiście jedyne przyczyny. Właśnie dziś, gdy odprężenie w stosunkach międzynarodowych wnosi i do naszych rozważań o literaturze i sztuce szereg nowych bodźców, idei, okazuje się, jak niewłaściwie byliśmy do nich nieczuli. Właśnie dziś, gdy odprężenie w stosunkach międzynarodowych wnosi i do naszych rozważań o literaturze i sztuce szereg nowych bodźców, idei, okazuje się, jak niewłaściwie byliśmy do nich nieczuli. Właśnie dziś, gdy odprężenie w stosunkach międzynarodowych wnosi i do naszych rozważań o literaturze i sztuce szereg nowych bodźców, idei, okazuje się, jak niewłaściwie byliśmy do nich nieczuli.

gów, liczne problemy wracają na porządek dzienny wciąż na nowo i właśnie dziś wywołują wśród niektórych pracowników twórczych wiele mylnych i fałszywych wyobrażeń. Wydaje mi się jednak, że w tej sytuacji należy sobie właściwie teraz przypomnieć to, co pisał Gorki w roku 1935 do A. Surkowa, kiedy mówiąc o rozbieżności między postulatami estetycznymi a względami politycznego oddziaływania, kładł wielki nacisk na potrzebę rewolucyjnej nienawiści w stosunku do wroga świata.

Jak scharakteryzować dzisiejszy stan czechosłowackiej literatury, która obecnie, jeśli chodzi o spory ideowe, wzbudza najwięcej zainteresowania i od której słuszenie oczekuje się wyzwalającego słowa?

Związek Czechosłowackich Pisarzy przed kilkoma miesiącami postanowił zwołać na początek przyszłego roku swój II Zjazd. Sformułował podstawowe tezy, ustalił szereg przedjazdowych konferencji i wezwał do szerokiej dyskusji. Przedwcześnie byłoby oceniać dotychczasowe posunięcia, gdyż do „zaplanowanych” akcji weszły nieprzewidziane momenty i bynajmniej nie wszyscy wybitni pisarze przejawiają chęć do dyskusji. Dotychczas jednak wszystkie ideologiczne spory poza dyskusją dotyczącą problemów filmu — miały charakter akademickich dysput na temat podstawowych pojęć, nie dotyczyły zaś poszczególnych dzieł, zasługujących na uwagę ze względu na swoją zdolność oddziaływania w ten czy inny sposób na odbiorcę. W sporach tych dominował dogmatyzm, istotne zaś problemy omijano.

I oto zdarzyło się, że po kilkumiesięcznej polemice o poezji na łamach czasopism i po konferencji, na której, zdawałoby się, uzgodniono końcowe wnioski, najwybitniejszy poeta czeski i twórca głębokich dzieł o naszych czasach Vítězslav Nezval napisał artykuł o G. Apollinaire’cie, gdzie opowiedział się za wstrząsającą szczerością za poetyką tego odkrywcę asocjacyjnych i irracjonalnych powiązań obrazowych. Artykuł ten wywołał najwyższą konsternację wśród krytyków, ponieważ doszczętnie burzył ustalone pojęcia.

Wydaje się także, że wszystkie dotychczasowe metody pracy Związku Czechosłowackich Pisarzy są wystawione obecnie na wielką próbę życia i że przedmiotem naszych dyskusji staną się niewątpliwie liczne podstawowe problemy, stawiane i rozwiązywane w innych warunkach społecznych przez wielkich socjalistycznych poprzedników, jak S. K. Neumann, Zdeněk Nejedlý i Juliusz Fučík. Najważniejsze z tych problemów to: sztuka a polityka, swoboda twórcza a zapotrzebowanie społeczne, nowatorstwo a granice realizmu, stosunek do wielkich humanistycznych zjawisk kultury zachodniej, prawda i piękno. Zagadnienia te budzą dziś niezwykle żywe zainteresowanie wśród czytelników i pisarzy i trzeba będzie dać na nie nową, głębszą, nieschematyczną i niedogmatyczną odpowiedź.

Z tego punktu widzenia jest dla nas pouczające wszystko, co się dzieje w bratnich literaturach, nawet jeśli doświadczenia często jeszcze są wulgaryzowane lub w sposób pozbawiony cech twórczych — przenoszone. Jest może smutną prawdą, że nie potrafiliśmy uchwycić i rozwinąć tych nowych, niezwykle twórczych elementów, które znalazły wyraz w referatach Szolochowa, Fiedina, Fadiejewa, Simonowa i in., wygłoszonych na II Zjeździe pisarzy radzieckich.

Z wielkim zainteresowaniem śledzimy również dyskusje polskie, tym bardziej, że mamy możliwość czytać większość dzieł polskiej prozy i poezji w języku czeskim. To także należy do wielkich zdobyczy naszej rewolucji kulturalnej. Ten radosny bilans dziesięciolecia uświadamia sobie każdy. Ileż to razy w ciągu tych lat wymienialiśmy szczerze poglądy, ile serdecznych życzliwych przyjaźni! Zastępuje może na uwagę, że poznaliśmy się na wielkim talencie K. I. Gałczyńskiego już wtedy, kiedy pokutując jeszcze wówczas w Polsce sekciarskie poglądy nie pozwalały

(Dokończenie na str. 2)



Rys. Karol Svolinský

VITIEZSLAV NEZVAL

CHABRY I MIASTA

Strugi błotnistych rzek błądzą w piarzystym piasku w zaroślach bagien i łąk, gdzie się odbija promień gwiazd pomylnych, nim zginie w blasku wątego rana. Czasem północny cień stopa błyszczącą dotyka lśniących, urodnych ust, płonących dziecienną tęsknotą, a czasem ulewa czy deszcz spływa pod brzuchem ropuchy, sztywnej od chłodu poranka, lecz okiem błyszczącym toczącej. Pośród dżdżystego pejzażu, opita słodkawym mlekiem rzeka porusza młyn i w drzew głębinnie gęstnieje, a człowiek, słów rzeźkich pelen, trzaska nad rzeką batogiem, goniąc w przedwiecznej cielfce, które się w wodzie plawia.

Kobieta upust ogarnia i suszy na drzewach bieliznę, a dziecko, żabom wróg, podstępnie czai się w cieniu. Niekiedy zajeżdża wóz, a człowiek podkłada rzeszotę i szumić daje deszczowi calemu z ziarna i złota.

Młodości, młodości moja, pokusy twe jeszcze wabia, i jelenia raczego i kukulkę złudnych poranków, dziwnym polukiem, który sam nie wie skąd ku nam idzie, czy z trąbek strażniczych odgłosu czy z dzwonów dalekich brzmień, młodości, młodości moja, w trzcinie twój gwizd się odzywa z muszką wlatując i ginie, młodości, jasna młodości, z ciebie do dziś krew mej pieśni, rosa dla mego zmęczenia, młodości nie utracona, tylko nieco cieniem przykryta. Idzie cyganka zimą i krwawe ślady zostawia w welnie białego śniegu, na kłóćmy wrona spoczywa, albo w gorący dzień letni waży się waży nad wodą młodości, moja młodości, jak dziecko zbłąkałe w skałach pulsujesz w głębi mych żył i żyjesz w tym oto rycaniu, daję się tobie prowadzić i sam cię widzę okólnie, niby młodego ślepa co cierpi na zawrót głowy.

Znałem biedaków, którzy od rana stawali do pracy trudzili się latem i zimą, trudzili się w pańskim lesie, orali na własnym polu i kuli ziemię motyką, co rana mroźna sikorka szronem solila im ręce, martwiały twarze czerwone, co wieczór wiały ich usypiały. Demowe strzechy ich chat walczyły z upałem i deszczem, grabie cisnęły ku ziemi przygarbione ich plecy, młodości, młodości moja, widziałas ich tańce oohocze, widziałas wesoła wesoła, gdy młoda za skrzynią płacze, a krąży ktoś koło chaty, nóż zaciskając w ręce, chmurny jak ciemna noc, co czarnym zlorzeczy głosem, bo ten co wszystko przegrał walcząc z chciwością ojców. I o prawo spieć się na umór — to wszystko co ma z młodości. Tu dożywnik zgrzybiały, przegnany szuka kłami, i sznura na gardło zbyt ciężkie, które tysiącokrotnie klamało, młodości, młodości moja, ty wiesz — nie potrzeba litości, dobrze, że minął twój czas, czas, który krzywdy rozsnuwał, czas jak zgorzkniały miód, który butwieje po dziuplach, dobrze, że minął twój czas, czas krwawej pomsty i głodu, dobrze, że minął twój czas, czas zachłanności ropuszej, dobrze, że minął twój czas i że nam już nie powróci.

Ujrzałem chabry i miasta, jak sobie ręce podają, modre kwitnące modrak, co były szkodnikiem w życie, chabry, które opiewał poeta, zmacony blazem, modre blawalki, które były tylko chwastami, a dzisiaj chabry tworzą cały łąk, który widziałem, łąk pelen łąd, łąk zdążający do celu, łąk sięgający do miasta, które mży całe w upale, łąk wkraczający w bramy, trąbami, młodością witany.

Ujrzałem pole czarnaławe, tam gdzie sporysz hodują, sporysz najgorszy pasożyt, teraz ma swoje zadania,

młodości, młodości moja nie bój się, nie bój się o nie nie zmarowało się nie, i wierz mi, nie mi zmaruwa,

nowy ten wiek jest bogatszy, wierz mi, młodości, jako bogatsza jest pieśń moja dzisiejsza od tamtej, którą poeta się żegnał z młodością przedwcześnie straconą.

Opiewam dzisiejszy wiek gdy człowiek, zwycięzca ziemi, otwartymi ramionami obejmie jak przyjaciela wspólny ludzkości cel, aż mu się w głowie zakręci, młodości, młodości moja, tyś wiodła ku temu celowi, wiodłaś mnie zawsze ku niemu i dzisiaj prowadź także, ujrzałem chabry i miasta jak sobie dłonie podają, ujrzałem miasta bez dymów, ujrzałem chabry bez snopów.

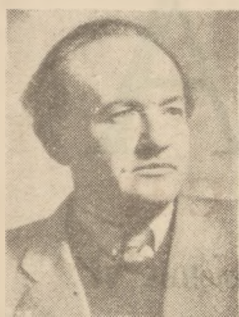
Widzę szkodliwe robactwo jak dziś dla człowieka pracuje, i tropikalne potwory co są od złota cenniejsze, widzę pieśń wybuchającą, co rodzicom dzieci powraca, widzę łaskawe jutro co hieroglify odczyta pisane na liściach, gwiazdach, na trawach i rybich łuskach, widzę łaskawe jutro, które nam zmięje objawy, rajskiego placka, kondora, sępa, chrapaszcza grabarza, objaśni ostrą sierść pokrzyw, tajemnicę plewy i cierni, zapach rozłanej psianki, zapach młodego tchórza, młodości, młodości moja, zdejm twój rękawiczki, zdejm twój pierścionek z palca, którym się zaręczyłaś z modrymi ptaszkami, z wzorami skał potrzaskanych, z wypieszczonymi kwiatami, z dojrzewającym winem, młodości, młodości moja, dosyć już elegijnego zwijania blawych chorągwi, gaszenia lampy po nocnej, dość placzu nad wiatką wierzbową, która zranila cię w rękę, młodości, młodości moja, to wszystko com kiedyś przeżył, przeżywałem ciągle a ciągle, przeżywałem z nową polegą, traktor skracą tę drogę, którą dreptały rumaki, światła północnych miast lunę zamknęły w alkiezu, ostry chirurg lancet powraca władzę w dloni, widzę narody świata na swym dorocznym spotkaniu, narody obu Ameryk, narody Azji, Australii, Afryki, ziem europejskich, widzę narody świata, na ziemi, na morskich diunach, na strzechach gór, powszędny, gdzie się w tysiącach języków ozwało słowo: człowiek.

Powstała pamięć zbudzona w Pompei, na Krecie, w Peru, pokrywa złotem prawdziwym owocem ogrodów Hesperyd, dąb, kochanek błyskawic, bez lęku przeciaga się w słońcu, widzę chabry i miasta leżące na łące jutra, te chabry błękitniejsze od oczu błękitnej miedzi, miasta śpiące w ogrodach, miasta wieńczone chabrami, miasta wznoszące ku niebu swoje strzeliste wieże, młodości, moja młodości, sen któryśmy razem śnili, tam pod gwiazdami nocy, gdzie światłem faluje powietrze, pośród szklanych piszczałek, młodości, gejzery świata, pod tą gwiazdą nocą, która wiruje w tańcu, sen któryśmy śnili razem i razem z najmędrzejszymi marzycielami — powraca z potężną siłą wybuchu, spełniony gorącym pędem, spełniony, znowu powraca, aby obudzić rankiem nowe i śmielsze tęsknoty, aby wybijać szyby w oknach spełnionych zachcianek, aby dźwigami nocy ładować bogactwa flotyli na drogę, daleką drogę, która nie skończy się nigdy, kobieta upust ogarnia i suszy na drzewach bieliznę, a dziecko, żabom wróg, podstępnie czai się w cieniu, niekiedy zajeżdża wóz, a człowiek podkłada rzeszotę, i szumić daje deszczowi, calemu z ziarna i złota, młodości, moja młodości, pokusy twe jeszcze wabia, z ciebie do dziś krew mej pieśni, rosa dla mego zmęczenia, i złotym światłem zalewasz mgłami płynący dzień, zalewasz chabry i miasta, zalewasz spełniony sen.

Przełożył Jarosław Iwaszkiewicz

WACŁAW RZEZACZ

Wspominam Polskę



przestanie wzruszać swoim wznio-
łym brzmieniem.

Podróżowałem po Polsce dwu-
krotnie, nie mogąc twierdzić, że
przewędrowałem ją wzdłuż i wszerz,
ale każde z miejsc, w których wle-
dyłem, zostało zapisane w mej
pamięci. Z uczuciem radości wspo-
minam i odczuwam sobie obrazy
miejsc i ludzi, epizody przyjaciels-
kich spotkań, waleśnienie się po
miejskich ulicach. Znowu wspo-
minam Kraków i jego Planty —
jakby stworzone dla zatapiania się
w myślach, rozpostarty wokół ka-
tedry wesoły plac, na którym targ
grał wtedy wszystkimi barwami o-
woców i jarzyn, i oczywiście Wa-
wel, gdy bowiem się nam patrzy,
zawsze następuje wspomnienie o
praskim Zamku. A Łódź, rodzona
siostra wszystkich przemysłowych
miast na świecie! Na twarzach
przechodniów dostrzegasz wyraz
tak dobrze ci znany z przechadzki
po ulicach Kładnia lub Ostrawy,
Tuli czy też niektórych przedmie-
sów Moskwy. Czujesz, co nas zbli-
ża, dzięki czemu staliśmy się nie-
rozłącznymi towarzyszami w dro-
dze do wspólnego celu. Wydaje
ci się, że prawdę o tym, jak sta-
liśmy się sobie bliscy, wyczasła
lepiej z tych twarzy, niż z wielu
stronic książek. Jest wiele miejsc,
o których chciałoby się stale wspo-
minać, na przykład Poznań z gło-
bokimi wyrzniętymi śladami historii,
jakby pograżony w zadumie pod
ciepłymi dachami dawnej świetności;
wielki dom Iwaskiewicza, gdzie po-
raz pierwszy poznałem polskie na-
rodowe tańce i pieśni; Wrocław,
gdzie wśród gruzów zrodził się na
Kongresie Intelektualistów światow-
y ruch walki o pokój; Wisła i jej
brzeżi obramowane kilometrami
wierzbowych dzungli. Kiedy za-
czepne powietrze w takiej chwili
wspomnień, czuję gorzkawy i
wilgotny zapach wierzby i uka-
zuje mi się twarz Igora Newerle-
go, tego miłośnika polskich rzek i
niezmiernie wycieczek po szla-
kach wodnych. A gdy wędrujesz
po polskiej ziemi, dzieła jej genu-
szy stają się wszędzie twoimi prze-
wodnikami, widzisz ją ich oczyma,
ma ona właśnie taką postać, jaką
przemawiała do ciebie z dzieł Mic-
kiewicza i Słowackiego. Krasiń-
skiego i Chopina, Reymonta i Ze-
rowskiego — wcześniej, niż mo-
głeś ją zobaczyć. Przenika do serca
poezją Juliana Tuwima, Broniew-
skiego i Gałczyńskiego, ubiera się
w słowa Andrzeja Wysłana i Bran-
dyśa, jest ci bliska, jakże dobrze
znana z dzieł poetów, których zro-
dziła.

Albo jak ja, „szczur ładowy”,
mogłbym zapomnieć o polskich
brzegach Bałtyku, gdzie po raz
pierwszy ujrzałem morze. O spo-
kojnej zatoce sopockiej, objętej
opiekunym ramieniem helskiej
kasy, o biciu wzbudzonych fal o
brzeżi Gdańska, Gdyni, Nowej Wsi
i Ustki, o rybackim kutrze, który
mnie na nich kołysał, o kilometr-
ach piaszczystych plaż i wydm, i o
sosenach, które poważnie zstępo-
wały aż na sam brzeg, jak gdyby
chciały zmierzyć swe siły z nieu-
stannie atakującymi falami. Mam
pełno obrazów, kiedy wspominam
Polskę, ale najmocniejsze z nich
są twarze polskich ludzi, z którymi
spotkałem się w swych podróżach.
Twarze poetów i naukowców, twa-
rze rybaków, hutników, tkaczy,
robotników wytwórni wagonów,
twarze ludzi, którzy wszczynali ze
mną rozmowę w tramwaju, kiedy
słyszeli, że mówię po czesku. To,
co odczuwałem w tych krótkich
chwilach pogawędki, było więcej
niż przyjaźnia. Pozdrawiam wszy-
stkich, bliższych i dalszych i tych,
którym mi tylko mignęli, pozdra-
wiam w nich mocny i twórczy pol-
ski lud, budujący nową Polskę.

Przełożył Jerzy Skolimowski



Nie ma chyba człowieka
interesującego się zagad-
nieniem wzajemnych sto-
sunków czechosłowacko-
polskich, który by nie wie-
dział kim jest prof. Karol
Krejczy. Prorektor Uniwersytetu
Karola IV w Pradze, wieloletni wy-
kładowca literatury czeskiej i pol-
skiej na tymże uniwersytecie, jest
prof. Krejczy — jeżeli chodzi o spra-
wy literatury polskiej — postacią,
której odpowiednika nie znajdziemy
w żadnym z zaprzyjaźnionych
z nami krajów: jest po prostu —
najwybitniejszym specjalistą w
dziedzinie historii literatury pol-
skiej — poza Polską.

Sytuacja ta odpowiada poniekąd
sytuacji naszej literatury w Cze-
chosłowacji w ogóle. W żadnym in-
nym kraju nie jest ona tak dobrze
stosunkowo znana, nigdzie nie tłum-
czą się tylu naszych książek, nig-
dzie w związku z tym — proble-
my naszej literatury nie budzą tak-
iego zainteresowania. Niemalą
część zasługi w tym zakresie przy-
pisz należy prof. Krejczemu. Kil-
kudziesięciu młodych polonistów
czeskich wychodzących rok rocznie
z jego seminarium, zainteresowa-

nych w problemach naszej literatu-
ry, czytających i popularizujących
polskie książki — oto rezultat je-
go pracy długoletniej, systematycz-
nej, uwieńczonej nie tylko osiągnię-
ciami pedagogicznymi ale przede
wszystkim naukowymi.

Ostatnią pracą prof. Krejczego z
dziedziny polonistyki jest opubliko-
wana przezeń przed dwoma laty i
omówiona swego czasu w „Nowej
Kulturze” „Historia literatury
polskiej” w języku czeskim, obej-
mująca dzieje naszego piśmiennic-
twa od jego początków aż po dzień
dzisiejszy. Książka ta, dzieło wiel-
kiej erudycji i świadectwo znako-
mitemu orientacji czeskiego uczone-
go w najbardziej złożonych zagad-
nieniach naszej literatury, wydana
została w pięknej szacie graficznej
i jest jedyną pracą tego rodzaju, ja-
ką ukazała się o polskiej literaturze
za granicą.

W związku ze świętem 10-lecia
Polski Ludowej prof. Krejczy odzna-
czony został za swe zasługi dla li-
teratury polskiej Krzyżem Koman-
dorskim z Gwiazdą orderu Odro-
dzenia Polski.

Przedstawiciel naszej redakcji
przeprowadził w czasie swego po-
bytu w Pradze rozmowę z prof.
Krejczem, uzyskując upoważnienie
opublikowania jej w czechosłowackim
numerze „Nowej Kultury”.

Potrąfimy najogólniej poinformo-
wać polskiego czytelnika o tym,
jaką pozycję zajmuje Pan Profesor,
jako znawca i propagator naszej li-
teratury w Czechosłowacji. Chodzi-
łoby nam jednak o pewne szczegó-
ły. Jak dawno zajmuje się Pan li-
teraturą polską? Co było dla Pana
bezpośrednim impulsem zaintereso-
wania się właśnie Polską?

JAROSLAW SEIFERT

WRESZCIE

Dni, które ukochałem,
a które mi uciekły na grzbieciech zórz zgasłych
bodać się wzajem ostrogami gwiazd,
chciałbym przywołać z powrotem,
leżący w cieniu płynącego czasu.

Zwłaszcza te pierwsze pocałunki,
smak ich wciąż jeszcze czuję na swych wargach,
lży takie gorzkie jak zawód i piolun
i pokusy najśłodsze,
których czaru wtedy jesteście świadomi,
kiedy już dawno do nas nie należ.

Ale to przecież zbyt intymne
i mało zajmujące dla postronnych osób,
lepiej żal swój wachlarzem skryć obojętności,
jak nas tego uczyli ci biali pierroci,
co dziś są na wymarciu.

Ubóstwiam cię, miła Małgosiu,
przyniosłem ci te kwiaty, które dziś zerwałem
— tą grą możemy oszukać każdego
i siebie wreszcie.

A wiosna oszalała tańczy na mogiłach,
uśmiecha się czekając na jesienne cienie
i nową wiosnę,
spokojny kielich wina i pieśń pogrzebową.

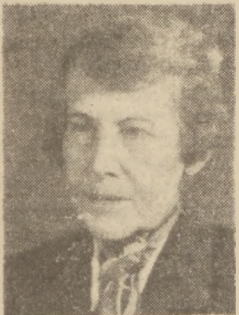
To już wszystko, co chciałem wam powiedzieć,
ach, nie więcej, tylko powiedzieć.

Przełożył K. A. Jaworski

Jarosław Seifert, wybitny poeta czeski starszego pokolenia (ur. 1901).

MARIA PUJMANOVA

Pozdrawiam was serdecznie...



Pozdrawiam Was serdecz-
nie, drodzy polscy przyja-
ciele i przyjaciółki, poz-
drawiam Was w miastach
i wsiach, w spółdzielniach
produkcyjnych, w fabry-
kach, hutach i kopalniach, w u-
rzędach i pracowniach artystycz-
nych, młodzież w szkołach, matki
w rodzinach, sportowców na boi-
sach i stadionach, żołnierzy w po-
wietrzu, pozdrawiam Was wszędzie,
gdzie jest życie ludzkie.

Pozdrawiam cię, stolicę Polski,
Warszawo, nad której zniszczeniem
plakałam podczas swojej pierw-
szej wizyty, przejeżdżając o świcie
między gruzami, i której młodą
piękność podziwiałam podczas war-
szawskiego Kongresu Pokoju, kiedy

obradowaliśmy w ogromnej hali dru-
karni Domu Słowa Polskiego, za-
sypanej kwiatami i udekorowa-
nej flagami państwowymi wszyst-
kich pokoi miłujących delegacji
narodów z całego świata. Zobaczy-
łam bielutką Mariensztat, dzielnicę
zbudowaną w planie trapezoidalnym,
tunel i trasę. Człowiek prawie wła-
snym oczom nie wierzył, czego w
takim krótkim czasie dokonać może
ludzka praca, kiedy szlachetna mi-
łość daje jej skrzydła.

Pozdrawiam cię, stary Krakowie!
Twój malowniczy Wawel na wzgó-
rzu przypomina mi Pragę. Podczas
naszej wiosennej wizyty w Kra-
kowie kwitły bzy, zalewały stare
uliczki perłową pianą i wanilio-
wym zapachem, towarzyszyły nam
przez całą drogę po Polsce aż do
morza. Te kipiące bzy, nad któ-
rych nieczułą wspaniałością roz-
paczal podczas wojny Tuwim w
swoim przepięknym poemacie.

Pozdrawiam cię, zadymiona Ło-
dzi! Zamieniłaś wille i ogrody fab-
rykantów w żłobki i przedszkola
i w robotnicze kluby-swieńce. Ofia-
rowałaś piękny dom warszawskim
pisarzom, którzy wtedy nie mieli
gdzie się schronić. Teraz już dawno
wrocili do swego ukochanego mia-
sta.

Pozdrawiam cię, ukochany przez
wszystkich Polaków, zielonooki

Bałtyku, pozdrawiam cię słowiań-
skie morze, w osobach robotników
gdańskich stoczni, gdyńskich ma-
rynarzy, kaszubskich rybaków!
Przeżyłam uroczysty dzień, pełen
słońca i ciepła, dzień na twoim wybrzeżu. Ciesze
się, że został odbudowany średnio-
wieczny Gdańsk, ta polska Wene-
cja. Oddechnęłam, kiedy martwy
morski potwór, wrak niemieckiego
pancernika „Gneisenau”, prze-
stał straszyć w gdyńskim porcie.
Polacy wydobyli z dna wrak, kio-
ry faszyści celowo zatopili w por-
cie, aby raniony pancernik skrzył
też i po swym upadku. Resztki stat-
ku, który służył śmierci, zostały
użyte w ludowym państwie na do-
bre cele. Zagoiło się bolesne miejsce,
gdzie w dawnym „korytarzu” przez
dwadzieścia lat wzbierała druga
wojna światowa. Oby nigdy nie
zaogniła się ta blizna, oby pozo-
stała czysta.

Pozdrawiam cię, Poznaniu, w
którym spoczywa pod kościelną
płytą najstarsza reprezentantka
„zblizenia czesko-polskiego” — Prze-
mysławowa Dąbrowka, żona pol-
skiego księcia — Mieszka, która,
jak wiadomo, przyniosła do Polski
chrześcijaństwo. Pozdrawiam Was,
polskie Karkonosze, nasza nowa
granica, widownia najmłodziej
przyjaźni czesko - polskiej. Wy-
cieczki robotnicze i młodzież zwią-

zkowa obu narodów spotykają się
z czeskiej i polskiej strony na
szczytach Śnieżki. Jakaż jest w tym
piękna mądrość, kiedy w celu u-
trzymania pokoju na ziemi łączą
się ludzie o tych samych demokra-
tycznych przekonaniach, i do te-
go jeszcze o tak zbliżonych języ-
kach!

Pozdrawiam was szczególnie go-
rąco, kobiety wrocławskie. Nigdy
też chwili nie zapomnę. Było to w
roku 1948, u samych początków
ruchu w obronie pokoju. Zebrał
się wielki wiec kobiet: robotnice,
towarzyszki, gospodynie, sąsiadki,
kumy. Były to kobiety proste,
przyszły w fartuchach tak jak w
domu, niektóre wzięły ze sobą dzie-
ci. Miałam mówić do nich o obro-
nie pokoju; tłumaczka przełożyła
pierwsze zdanie. Ale kobiety woła-
ły: „Niech mówi po czesku, my ją
rozumiemy”. Powiedziałam im kil-
ka nie przygotowanych zdań o nie-
dawnym cierpieniu narodu pol-
skiego i o tym, że kobieta, która
daje życie i kocha swoje dzieci,
będzie do ostatniej kropli krwi bro-
niła pokoju. Wtedy otoczyły mnie,
jedną przez drugą, podawały mi
ręce, objęłyśmy się, razem śmiejąc
się i płacząc. Naprawdę, rozumia-
łyśmy się doskonale.

Przełożył Jerzy Skolimowski

Ambasador kultury polskiej

— Tradycje zainteresowań Polską
i polską literaturą istniały w Cze-
chosłowacji od dawna. Wyrósł nie-
wątpliwie na gruncie ogólniejszych
tendencji słowiańskich. W cza-
sie, kiedy studiowałem na uniwer-
sytecie Karola w Pradze, została
założona przy nim katedra litera-
tur polskiej prowadzona przez
prof. Mariana Szyjkwowskiego. Jemu
zawdzięczam w dużej mierze zbli-
żenie się do spraw polskiej litera-
tury. Było to w latach 1924—1925.

— Czy może Pan Profesor podać
nam niektóre przynajmniej waż-
sze swoje prace z zakresu litera-
tury polskiej?

— Pierwszą moją pracą naukową
z tej dziedziny była dysertacja pt.
„Wpływ powstania listopadowego
na czeskie odrodzenie narodowe”
(1928 r.). Następna praca oparta na
nieznanym materiałach archiwal-
nych powstała w latach 1930—1931
i nosiła tytuł „Polacy w Czechach
w czasie powstania listopadowego
i „wielkiej emigracji”. Moją pracą
habilitacyjną była książka „Polska
literatura we wreszcie rewolucji”. Pi-
sałem w niej o echem rewolucji
r. 1905 w literaturze polskiej. Książ-
ka ta ukazała się w r. 1935, była
także wznowiona po wojnie
(r. 1949). W r. 1939 opublikowałem
studium pt. „Polskie i czeskie bajki
Bartłomieja Paprockiego”, w któ-
rym zajmowałem się zarówno ana-
lizą dzieła Paprockiego, jak po-
równaniem oryginału dzieła poety
z jego współczesnym przekładem
czeskim. Była to praca przygoto-
wawcza do monografii o Paproc-
kim, nad którą pracowałem w cza-
sie wojny. Po wojnie wydałem po-
nadto znane panu książki: antolo-
gie „Wiosna ludów w literaturach
słowiańskich” (1948), popularno-na-
ukową monografię o Juliuszu Sło-
wackim (1949), „Dzieje literatury
polskiej” (1953), a także szereg
wstępów do czeskich wydań dzieł
polskich klasyków (Mickiewicz,
Prus, Orzeszkowa, Sienkiewicz, Ze-
rowski) i pisarzy współczesnych
(Brandys, Putrament, Tuwim, Wa-
silewska).

— Obok prac na temat literatury
polskiej Pan Profesor za sobą
także szereg innych, związanych z
literaturą czeską. Czy mógłby Pan
Profesor wymienić przynajmniej
niektóre z nich?

— Jestem autorem dwu mono-
grafii o pisarzu czeskim z II-ego
polowy XIX wieku, Jakubie Arbe-
ście. Pisałem też studia o twórczo-
ści takich autorów jak Svatopluk
Czech, Jaroslav Vrchlicky, Alojs
Jirasek, Ignac Herrmann, Fran-
zramek, Jaroslav Kvapil, Anna
Maria Tilschova.

— Jak wygląda obecny udział
Pana Profesora w pracach organi-
zacyjnych czeskich historyków li-
teratury?

— Niezależnie od udziału w pra-
cach uniwersyteckich jestem człon-
kiem Rady Naukowej Instytutu
Badań Literatury Czeskiej, oraz
Instytutu Słowiańskiego w Pradze.
Redaguję od lat pismo naukowe
„Slavia”.

— Czy mógłby Pan Profesor po-
wiedzieć coś o ostatnich osiągnię-
ciach, a także o planach i zamie-
rzeniach tych instytucji? Interesu-
je nas zwłaszcza porównanie cha-
rakteru prac Instytutu Literatury
Czeskiej z naszym Instytutem Ba-
dań Literackich, a także działal-
ność Instytutu Słowiańskiego w
zakresie spraw polskich.

— Instytut Literatury Czeskiej
uważa w danym momencie za
główne swe zadanie opracowanie
uniwersyteckiego podręcznika li-
teratury czeskiej. Jestem kierowni-
kiem kolektywu pracowników, zaj-
mujących się literaturą czeską dru-
giej połowy XIX stulecia i sam do
wymienionego podręcznika przygo-
towuję kilka rozdziałów o ogólnym
rozwoju literatury w tym okresie
oraz monograficzne opracowania
niektórych wybitniejszych poetów.
W Instytucie Słowiańskim prowa-
dzą sekcję historii literatury. Jed-
nym z głównych zadań sekcji jest
opracowanie nowych szkiców hi-
storii poszczególnych literatur
słowiańskich; pracę tę zapoczątkowa-
łam właśnie przez wspomnianą już
„Historię literatury polskiej”. Oprócz
tego zajmujemy się historycznym
rozwojem stosunków literatury
czeskiej z literaturami innych Sło-
wian oraz krytyczną historią czes-
kiego słowianoznawstwa. Instytut
zorganizował dwie sesje naukowe,
z których pierwsza poświęcona była
założycielowi czeskiej slawisty-
ki, J. Dobrowskiemu, druga zajmo-
wała się metodologią badań porów-
nawczych w lingwistyce, historii i
historii literatury.

— Jak wygląda obecnie wa-
runki współpracy z Polską w in-
teresującej Pana dziedzinie? Czy
użytkuje Pan należytą pomoc ze
strony placówek polskich?

— Teoretycznie warunki współ-
pracy są dobre. Oficjalnych przes-
zkód dla ich rozwoju nie ma. Są
jednak przeszkody praktyczne. Na
duże trudności napotyka wymiana
studentów-polonistów z Czechosło-
wacji i bohemistów z Polski. W u-
mowach o wymianie studentów u-
względnia się techników, lekarzy,
humanistów natomiast są kłopotli-
wymi. A przecież wyjazd do kra-

ju, którego literaturę studiuję, jest
dla nich nieodzownym warunkiem
poznania języka, zeknięcia się ze
środkiem kulturalnym. Bez za-
łatwienia tej sprawy nie ma mo-
wy o pogłębieniu studiów.

— Które z zagadnień dotycz-
cych literatury polskiej budzą naj-
wyższe zainteresowanie czeskich
studentów - polonistów? Czy są to
raczej sprawy literatury dawnej
czy współczesnej?

— Największą ilość prac, opraco-
wywanych według wyboru student-
ów w moich seminariach dypto-
mowych, dotyczy literatury współ-
czesnej albo literatury drugiej po-
łowy XIX wieku. Nie zaniedbuję
jednak i literatury epok daw-
niejszych. Jeden z moich aspiran-
tów specjalizuje się w literaturze
wieku XVI.

— Jak zapatruje się Pan Profe-
sor na pracę naszych wydawnictw
i naszej prasy literackiej w zakre-
sie zbliżenia czytelnika polskiego
do spraw literatury czeskiej? Jak-
ie zadanie uważa Pan Profesor w
tej dziedzinie za najpilniejsze?

Wydaje mi się, że najważniejszą
sprawą byłoby tu osiągnięcie pew-
nej systematyczności i ciągłości,
zwłaszcza w przyswajaniu polskie-
mu czytelnikowi dzieł klasyków
naszej literatury. W Polsce wyda-
je się pojedyncze utwory naszych
pisarzy, co nie zawsze pozwala na
zrozumienie sprawy czym jest ich
dorobek. I tak np. wydanie „Ma-
lostranskich powieści” Jana Neru-
dy (w polskim przekładzie „Opo-
wiadania ze starej Pragi”) nie da-
je jeszcze żadnego wyobrażenia o
bogatej i wielostronnej twórczości
tego pisarza. Bardzo potrzebną rze-
czą wydaje się opracowanie anto-
logii przekładów naszej poezji, u-
względniającej także dorobek kla-
syków. Niekiedy z naszych wy-
bitnych poetów nie byli prawie
wcale tłumaczeni na polski język.
Należałoby postarać się o nowe
przekłady, doskonalsze od dawniej-
szych. Niezmiernie ważną rzeczą
jest też systematyczne zapoznawa-
nie polskiego czytelnika z dzieła-
mi naszej literatury przy pomocy
odpowiednich wstępów do dzieł
przekładanych i artykułów w pra-
sie literackiej.

— Nad czym pracuje Pan Profe-
sor obecnie? Jakie są Pańskie pla-
ny i zamierzenia na najbliższą
przyszłość?

— W ostatnich miesiącach naj-
więcej czasu poświęciłem Mickie-
wiczowi. W związku z jego jubi-
leuszem napisałem kilka studiów
naukowych i szkiców popularyza-
cyjnych, przygotowywałem do dru-
ku poszczególnych tomy pism wybra-
nych Mickiewicza i wygłosiłem o
nim kilka odczytów. W roku na-
stępnym najbardziej naglącą bę-
dzie praca nad wspomnianym pod-
ręcznikiem literatury czeskiej. W
związku z wydawaniem pism wy-
branych St. Żeromskiego, które
redaguję, zajmę się znów autorem
„Popiołów”, któremu już dawniej
poświęciłem niejedną pracę.

Rozmowę przeprowadził

Ryszard Matuszewski

Przyjacielska
rozmowa

(Dokończenie ze str. 1)

przynać temu poecie należnego
mu w polskiej poezji miejsca.

Przeglądałam swoją koresponden-
cję z tych krótkich dziesięciu lat
są w niej listy J. Tuwima, K. I.
Gałczyńskiego, W. Broniewskiego,
J. Andrzejewskiego, J. Brzechwy,
R. Matuszewskiego, T. Różewicza
i wielu innych. Uświadamiam so-
bie, że nasze związki są głębsze,
niż — biorąc pod uwagę tempo
dzisiejszego życia — mogłyby się
wydawać na pierwszy rzut oka.

Ale nawet najlepszych doświad-
czeń nie wolno przenosić mecha-
nicznie, bez uwzględnienia szczegó-
lnych historycznych warunków ro-
znych historycznych warunków ro-
znych. Możemy jednak wiele nau-
czyć się, jeżeli nie tylko będziemy
wzajemnie obserwowali literackie
spory, lecz również poznamy do-
skonałe literaturę naszych narodów.
I tu pozwólcie mi powiedzieć, że
podobnie jak u nas wielu pisarzy,
wynoszących pod niebiosa swobodę
właszych dyskusji, nie zna dzieł li-
teratury polskiej, tak również brak
zainteresowania czeską poezją w
Polsce — wypływa z tego, jak mi
się wydaje, że wielka poezja ta-
kich twórców, jak S. K. Neumann,
V. Nezval, K. Biehl, J. Kostra, V.
Zavada, J. Seifert i in., nie zna-
lazła dotychczas tłumaczy-poetów,
którzy by polskiemu czytelnikowi
potrafili ukazać wszystkie jej ar-
tyściście, indywidualne wartości.

Niechaj znamienna przyjaźń „Li-
terarnich novin” i „Nowej Kultu-
ry”, przyjaźń, której wyrazem są
dwa specjalne numery tych pism,
zapoczątkuje głębsze wzajemne po-
znanie, jakiego przykładem był z
naszej strony genialny tłumacz
Mickiewicza — Franciszek Halaś,
u was zaś — Julian Tuwim.

Przełożyła Maria Skolimowska

LUDWIK ASZKENAZY

ETIUDY DZIECIĘCE

Aniołek czyli samokrytyka



— Ja wiem, tatku — powiada — ale kiedy ten aniołek rusza głową!

Porozmawialiśmy jak należy i zdawało się, że sprawa została wyjaśniona. Ostatecznie, udzielanie wsparcia aniolkowi nie należy do nas bezwyznaniowców, tym bardziej że mamy to potwierdzone czarne na białym. A w dodatku, skąd mu strzeliło do głowy żebrać? Nie, tego nie można puścić płazem, musimy to sobie, przyjacielu, porządnie rozważyć i złożyć samokrytykę.

— A teraz ci jeszcze powiem, co to jest ta samokrytyka — dodaje. — Nawet dorosły człowiek popełnia błędy, a co dopiero taki szkrab. Ale błędy trzeba sobie uświadomić, przemyśleć i przyznać się do nich. Potem...

— Potem co? — spytał chciwie. — Potem można wiele naprawić, oczywiście pod warunkiem, że ma się szczerze postanowienie.

— Ja mam szczerze postanowienie, tatku, słowo daję! — rzekł uradowany. — I to już jest ta samokrytyka?

— Tak — mówię. — Jeżeli masz szczerze postanowienie...

Byłem bardzo zadowolony, że zrozumiał, bo nie każdy to potrafi. Kilka dni później, wracając do domu, przyłapałem małego człowieka na prowadzonej szeptem rozmowie z nieznanym mi przechodniem. Przechodzień wydawał się zaskoczony, potem jednak wyjął dziesięciogroszówkę, mały człowiek nie dbałe podziękował i puścił się pędem ku kościołowi.

I wtedy nastąpiło zdarzenie. Patrzyliśmy na siebie, patrzyliśmy, patrzyliśmy — och, co za wstyd...

— No i widzisz — powiedziałem z goryczą, — tak wygląda twoje szczerze postanowienie... Słownie dziękuję.

— Nie bój się, tatku, — rzekł cały zapierzony — ja ci dziś wieczór znowu złożę samokrytykę.

I przez lzy chlipnął jeszcze: — Kiedy ten aniołek kiwa głową, wiesz?

Przy placu stoi kościół, a w kościele jest aniołek. Aniołek spogląda obojętnie, może nawet trochę wyniośle, ma złamane skrzydło, w dłoniach trzyma kropielnicę i kiedy mu się tam rzuci moneta kiwa wdzięcznie głową.

A na podstawie jest napis:

BÓG ZAPŁAĆ

Mały człowieczek, zapalony badacz i znawca placu króla Jerzego, odkrył aniółka i sumiennie starał się zgłębić jego tajemnice.

Bo, po pierwsze, skąd przyleciał jeżeli ma złamane skrzydło, po wtóre, jak może ruszać głową skoro jest drewniany.

A w ogóle w tym się kryje coś cudownego, bo przecież aniółków nie ma...

— Tatku — mawiał co dnia mały człowieczek, namiętny badacz — daj mi, proszę, dziesięć halerzy, ja bym chciał pójść do aniółka.

Długo dawałem, aż raz rzekłem: dosyć, basta!

— Co za dużo, to niezdrowo, synku — powiedziałem. — Kościół ma teraz należytą opiekę, księża otrzymują przyzwoite płace i ponad to piją wino w czasie mszy.

— Ja o tym, tatku, nie wiem — odparł — a ten aniołek tak kiwa głową!

Nie doszło do zgody i mały człowiek pomaszzerował niezrozumiany, ale z mocnym postanowieniem utrzymywania nadal stosunków z mieszkańcem niebios. Po kilku dniach dotarły do nas oszałamiające wieści. Podobno małego zatrzymuje przed domem nieznanego człowieka i przejmującym głosem prosi:

— Proszpana, czy pan mi może dać dziesięć halerzy? Bo my mamy tutaj aniółka, on jest cały pomalowany na czerwono... Strasznie panu dziękuję...

I przechodnie, wzruszeni tak niezwykłą prośbą w czasach powszechnego upadku cnót chrześcijańskich, szczerze dobywali portmonetek, a nienasycony aniołek mechanicznie wyrażał swą wdzięczność.

— Chodź-no tu, boży kwartarzu — przywołuję go. — Co to ma znaczyć, synku? Przecież wstyd nam robić wobec całego domu!

Dokument urzędowy

Sfałszowałem dokument urzędowy. Trudno i darmo, nie na to nie poradzę, więc tylko, korzystając z tej okazji, przynajmniej się przed opinią do fałszerstwa, ale mego wyznania proszę nie uważać za objaw skrucy.

Tak jest, sfałszowałem dokument, i w dodatku wymalowałem na nim pieczętkę i podrobiłem nieczytelny podpis nieznanej osoby.

Wszystko, co tu piszę, zrobiłem i obwieszczać nie bez uczucia dumy.

A doszło do tego, kiedy w zeszłą niedzielę poszliśmy z całą brygadą pracować społecznie.

Przygotowania trwały długo, dresy zostały odprasowane, i na cały tydzień przedtem zajądaliśmy co nie miara, aby nabrać sił.

Rankiem w niedzielę pobudka była wcześniej, po czym orzeźwieni zimnym prysznicem ćwiczyliśmy się w śpiewaniu pieśni masowych. Kiedy nam mama wypychała placki na drogie, oświadczyliśmy:

— Ty myślisz tylko o jedzeniu! — A mój syn ogromnie się cieszył, że będzie nosił kamienie.

— Wiesz co — powiadam — ja bym ci radził nam przygrzywać. My zajmujemy się robotą, a ty będziesz dla nas grał. Zabierz z sobą bebenek i wszyscy ci jeszcze podziękujemy. Ludzie marzą i o kulturze.

— Ale to nie jest praca — odparł. — Ja, tatku, będę nosił kamienie. Człowiek nie może całe życie się bawić.

— Po cóż masz nosić kamienie — zaprotestowałem — w ten sposób nie nie pomożesz, a tylko się usmarujesz. Wystarczy, że nam zagrasz... Jak orkiestra fabryczna.

— Ba, ale nie mamy trębaczki — powiada — i gdzie tu w ostatniej chwili zdobyć trąbkę? Łatwo ci mówić: graj! Ale skąd wziąć instrument?

W końcu się zgodził i dostał od nas wierzbową witekę, która miała oznaczać paleczkę dyrygentką.

No i słownie nam przygrzywał, ludzie byli zachwyceni. Wprawdzie niektórzy się skarżyli, że muzyki nie słycać, ale inni twierdzili, że

właśnie słyca; zależnie od muzykalności brygadzystów. A ponieważ nasza ulica, skąd pochodzi, nosi nazwę skrzypka Laubego — jakoś się to wszystko koniec końców spodobało.

Potem poszliśmy po zaświadczenia, żeby mieć czarne na białym, żeśmy pracowali.

A on stał smutny na uboczu i naraz powiada:

— Przepraszam, a muzykanci to nie nie dostaną?

Więc się nam go żal zrobiło i zwróciliśmy się do grubasa, który załatwiał tę skomplikowaną procedurę:

— Daj nam, towarzyszu, z łaski swojej również zaświadczenie dla orkiestry...

Ale ten się rozłożył. — Towarzysze, toż to sprawa urzędowa, zachowujcie się poważnie... A w ogóle dzieci nie mają tu nic do roboty!

I dalej wypisywał zaświadczenia. Wszystkim — tylko nie orkiestrze. Naraz słyszymy, że ktoś okropnie płacze. Właśnie nasi muzykanci. Tak nam wesoło przygrywali, a teraz cała zabawa do chrzanu... Serce się krajało, kiedy słyśmy ten płacz, wszystkim żal było.

— Towarzyszu — mówimy — napiszże to zaświadczenie naszej orkiestrze... Patrz, tonie we łzach!

— Towarzysze — odparł organ urzędowy — proszę się rozejść. Obowiązek obywatelski spełnić, ale nie żądajcie, żebym ośmieszał instytucję brygad ochotniczych. Uświadomcie sobie, że w pierwszej pracy brygad na Kremlu wziął udział sam towarzysz Lenin...

— Właśnie, właśnie — mówimy — już on by na pewno naszej orkiestrze takie zaświadczenia wypisał!

— Towarzysze — brzmiała odpowiedź — okazujecie brak dojrzałości politycznej... A w ogóle proszę mnie nie pouczać. Sam się dokształcam!

I nie napisał zaświadczenia.

Więc się wam muszę przyznać, że podrobiłem ów dokument. A co gorsza — wymalowałem na nim pieczętkę i napisałem wielkimi kufonami:

ZASWIADCZENIE

DLA ORKIESTRY

VILEM ZAVADA

Vilem Zavada (ur. 1905) jeden z czołowych współczesnych poetów czeskich.

GOSPODA

Lubię te praskie kawiarenki,
W których siaduję się parami.
Nie po to aby jeść przysmaki,
Lecz by rozmowę wieść oczami.

Lubię gospody nasze wiejskie
I często do nich zaglądałem.
Tam w gronie prostych ludzi śledząc
Radość i smutek zapijałem.

Ale najmilsza mi ta ziemia,
Ona wrót nigdy nie zawiera.
Gospoda stara to pod słońcem,
Gdzie czekać się rodzi i umiera.

Każdy, byle by bez hultajstwa,
W niej się radować i żyć może.
Gospodarzowi się tu płaci
Za blask słoneczny i przestworze.

Smutno z gospody tej odchodzić...
Lecz gdy się z Czechem Czech spotyka
Czy na weselu czy pogrzebie,
Niebawem zabrzmi tam muzyka.

Przełożyła Julia Hartwig

BEZIMIENNI

Na plakatach imię moje nie lśni,
Nikt ich rysów w brzmie nie utrwalił,
Ja w ubraniu chodzę najzwyczajnym
I jak ludzie najzwyczajni żyję.

Ci co w wiekach przeminionych wzniesili
Wieże zamków, mury dla obrony,
Sarkofagi mężów behaterskich,
Akwedukty i świątyni frontony.

A na wojnę szli w hartownej zbroi,
W polu stali twardo niby skala
I gromili nieprzyjaciół swoich
Aż w posadach ziemia dygotała.

Powracali do domu z bliznami
I do zajęć pędzili innych,
W skalniach cieli granity i kamień,
Żeby miasta swe podnieść z ruiny.

Monumentów nikt im nie wystawił,
Nikt ich rysów w brzmie nie utrwalił,
Lecz nie dbając o koleje sławy
Sami sobie pomnik zbudowali.

A ten pomnik — góry zalesione,
Krwiań zabronzony szaniec barykady,
Białe dwory na ziemi zielonej,
Szumne pola kwitnące jak sady.

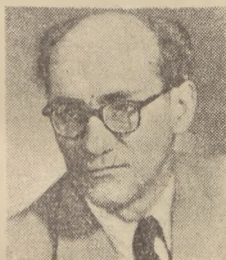
Na plakatach imię moje nie lśni,
Nikt w teatrze brawa mi nie bije.
Ja w ubraniu chodzę najzwyczajnym
I jak ludzie najzwyczajni żyję.

Ale dumnie pogląda z mej twarzy
I w spojrzeniu odbłask ma niezmienny
Sława ludzi, co nie mieli nazwisk,
Siła stu tysięcy bezimiennych.

Przełożył Artur Międzyrzecki

VASZEK KANIA

Co robi powiat?



W szkolnych cytatkach nie się wprowadzie o tym nie mówi, ale „żniwa” to nie jedno lecz cztery słowa: — kośba — zwózka — omłoty — skup. Kośba się żniwa zaczyna a skupem kończą, jednak dopiero gdy człowiek sam dostanie się między te dwie pary kamieni może poznać, co takie słowa znaczą. Gazety i radio mówią że w czasie żniw niezliczona ilość razy, w każdej chwili gotowe są podać jak wygląda sytuacja z koszeniem, zwózką, omłotami i ze skupem w powiatach i okręgach, przytoczyć dane cyfrowe i procentowe, lecz trzeba mieć nie lada fantazję, by umieć sobie wyobrazić ten młyn.

Niedawno miałem sposobność słyszeć, jak pewien człowiek pracujący zawodowo w administracji pieklił się na „nieudolność tych wai-

koni w powiecie”. Dlaczego niby — pytał — powiaty takie jak Kralupy albo Brandys nad Łabą mogą przodować w koszeniu, w zwózce i tak dalej, a dlaczego Votice albo Vlaszim wloką się na szarym końcu? Co za ludzie siedzą w tamtejszych radach narodowych, czemu się ich nie pozamyka albo przynajmniej nie pozbijuje?

Jadąc ze mną pociągami gadał jak należy: — O, proszę, znów zboże w kopcach! Czemu go nie zwózka? Ziarno zrosnie, a jaka to będzie szkoda chyba rozumiecie? Ciekawym co robi powiat, no powiedziecie sami: po co ich wybrano skoro tak gospodarują?

Muszę wam powieścić, że ów „ekonomista” krytykował i wymyślał aż strach. Tylko tak „państwo-wotwórczo”, że nie warto się było go czeplać chociaż na pewno nigdy w życiu sam nie ustawił na polu ani jednej kopki, a nawet jednego powróra nie ukurzył. Ale jego zdaniem cały powiat Vlaszim pętający się na szarym końcu tabeli żniwnej okręgu praskiego kwalifikuje się — pod klucz. Jest to poniekąd i mój powiat, trochę go znam i dlatego coś-nie-coś się z krytykującym posprzeczałem. Mimo że i mnie interesowało właśnie „co robi powiat”.

We Vlaszimu zacząłem od „głowy”, czyli od przewodniczącego powiatowej rady narodowej. Znam go,

wiedziałem, że mi nie będzie opowiadał dyrdymalek. Franciszek Janata to człowiek szczery, z zawodu szlifierz i gdybym miał mu wystawić opinię napisałbym zwięźle: „Jako szlifierz pracował z dokładnością do jednej tysięcznej milimetra. Taki sam jest we wszystkim”. Wady, naturalnie, ma podobnie jak my wszyscy, ale w porównaniu z nami, młodszymi od siebie, przypadał mu cięższy los. Zważyło się na niego wiele nauki i obowiązków w wieku, kiedy człowiek zaczyna już tęsknić za odpoczynkiem.

O ile mi wiadomo, od czterdziestego piątego roku był przewodniczącym rady zakładowej w blanickej fabryce maszyn, przewodniczącym komitetu powiatowego partii, dyrektorem urzędu skupu i posłem do Zgromadzenia Narodowego, a teraz „siedzi w powiecie” przewodnicząc prezydium rady narodowej. Gdy skończy mu się kadencja będzie miał równo sześćdziesiąt dziewięć lat.

Skoro już wspominałem o jego wadach — wymienię przynajmniej jedną z drobniejszych. Franciszek jest człowiekiem za bardzo takownym. Nie będzie się z tobą kłócił, kiedy nie masz racji, choć kto go zna, wie, jak wtedy cierpi, bo w takich chwilach ma strasznie nieszczyśliwy wyraz twarzy.

Tym razem zastałem go w momencie, gdy przygotowywał się na zebranie trójki żniwnej.

— Franciszku — powiadam od niego — musimy znaleźć czas, żeby pogadać o poważnych problemach.

Franciszek nie powiedział ani tak ani nie. tylko uśmiechnął się i zaczął mnie słuchać. Widocznie

jednak cierpiał, bo miał wyraz twarzy arcynieszczęśliwy. Podobnie jak na zebraniu trójki żniwnej, kiedy mu jakiś przemądrzały towarzysz z Pragi nie szczędził dobrych rad. Siedział przy stole zwieszając głowę i splótłszy dłoń nie na tyle głowy jakby chciał powiedzieć: „Co ty mi tu będziesz prawić morały!” Widać i ze mną był nazbyt taktowny, ograniczył się do stwierdzenia:

— Problem... problemy... zostawisz to i zobaczysz. Problem to ludzie. Jak wszędzie.

Czasu na rozmowę o problemach nie dorwałem, bo młyn żniwny nawet na chwilę się nie zatrzymał. Koszenie, zwózka, omłoty i skup ścigały przewodniczącego dzień i noc. Nie zauważyłem w czasie owych dwóch tygodni, żeby Franciszek opadał z sił. Może jednak... lecz to już dotyczy innej jego wady.

Franciszek to także człowiek zawzięty. Jak się na coś uprze, to nie ustąpi. Być może, że nieraz w tym piekielnym kołowrocie żniwnym mówił sobie: „Bierz czapkę i rzuć to wszystko!”, ale za nie by tego nie uczynił. Przyznał mi się, że podobnie czuł się, kiedy go towarzysze rzucili do jaskini lwa czyli zrobili robotnikami placówki skupu. Jemu, robotarzowi, kazało znać się na zbożu, na różnych gatunkach ziemniaków i Bóg wie na czym jeszcze! No, ale nawet wtedy nie zważył i w końcu wyrobił się na całkiem dobrego dyrektora. Inni robią z tego cnotę i nazywają to dumą, ale u Franciszka Janaty był to zapewne upór. Nie ustąpi, żeby go mieli zabić.

Nie doszło więc do rozmowy na temat „problemów” i z braku cza-

su i dlatego, że okazało się to niepotrzebne. Zaraz pierwszego wieczoru pojechalśmy do pewnej wsi zakładać spółdzielnię produkcyjną. Franciszek, tow. Frajtał z komitetu powiatowego i ja. Ja, oczywiście, pełen naiwnych wyobrażeń i radości, że zyskam materiał do wielkiego reportażu, a co ważniejsze — będę jednym z „ojców chrzestnych” nowej spółdzielni. Gorliwie rozpytywałem obywateli towarzyszy o wszystkie możliwe rzeczy, a oni mi taktownie odpowiadali.

— ...a formularze zgłoszeń do spółdzielni macie?

— Na co nam formularze?

— Jak-to, jedziemy przecież zakładać spółdzielnię!

— A ty uważasz, że założymy?

— No, to po co tam jedziemy?

— Oho, pojedziemy tam jeszcze wiele razy zanim się nam uda założyć spółdzielnię.

— Dobra, to znaczy, że możliwości są, ale w takim razie co znaczy wezwanie z Pragi: „Podajcie, ile spółdzielni produkcyjnych założycie, w których gromadach, i w jakim terminie!”

Zaczęli się obaj śmiać a ja z nimi. Ja z własnej naiwności a także z naiwności tych, którzy wysyłają do powiatów podobne wezwania.

Jak gdybyśmy nie mieli tylu gorzkich doświadczeń z zakładaniem spółdzielni na łapu-capu!

We wsi sąsiadującej z celem naszej wyprawy wzięliśmy do wozu miejscowego towarzysza, który już traktował z pięciu „filarami” przysługę spółdzielni o jej założenie. Franciszek zapytał, jak sprawy stoją.

jętnością istot zakochanych. Od czasu do czasu warknie, żeby zachować autorytet i wymóc sobie szacunek; ale chyba tylko dlatego, że w takiej chwili odzywa się w nim duch przodków.

Myśmy się tego warczenia wcale nie bali — kiedy pies był już daleko, mały człowiek stawał się szczególnie odważny — to już taka ludzka natura.

A paskudny kundel tylko smutno za nim spogląda i z poczucia odpowiedzialności za dobre imię mleczarni jeszcze ze dwa razy zaszczeka.

Takie to stosunki panowały między nami — dosyć naprężone. Może dlatego, że ów pies był też jeszcze młody i przyszedł na świat przed niespełna rokiem.

Pewnego dnia posłano małego człowieka po mleko. Wziął więc bankę i ruszył schodami na dół, nie przeczuwając dramatu.

Doszedł do mleczarni, a tu przed wejściem leży... No, kłóży inny jak nie paskudny kundel...

Spojrzał na siebie — wygolony mieszaniec w sposób zadumany, chłopiec z banką — zaskoczony. I co teraz?

Paskudny kundel leży, macha ironicznie ogonem i ani mu się śni ruszyć. Cały różowawy, ma minę wyraźnie chłodną. Może sobie nawet coś myślał i miał z tej sytuacji — jak się to mówi — frajdę. A podniecony gość zbiera tymczasem na odwagę: — przekroczyć Rubikon, czy nie?

Stał, stał, stał i naraz skłania się głęboko przed paskudnym kundlem i powiada:

— Dzień dobry, pieseczku!

Paskudny kundel ani drgnął... A chłopiec z banką ciągnie pieszczołowym głosem:

— Jak się masz, piesuniu? Aleś ty śliczny...

Paskudny kundel spojrzał z zaciekawieniem, oblizał sobie wąsy i w zadumie ruszył ogonem — a cóż to za nowinka?

— Ty jesteś najładniejszy pies z całej ulicy, taki grzeczny, taki słodki psiaczek. Uśmiechnij-że się do mnie, kundelku!

Paskudny kundel spojrzał z wdzięcznością, był to w końcu tylko sentymentalny pies, odwrócił się i zniknął w głębi mleczarni.

A mały człowiek ruszył po mleko. Kiedy mleczarka opowiadała nam o tym, troszkę-śmy się wstydzieli. Nawet nie tyle wobec niej, ile wobec tego obrzydłego kundla.

— Jak mogłeś — pytam — temu psu tak schlebiać, kiedy zwykle okropnie mnie poniewierasz? Zdziwił się.

— Bo on by mną, tatku, nie puścił do tej mleczarni — odpowiada w zadumie.

I dodał jeszcze:

— A wiesz, tatku, ten paskudny kundel był wtedy taki szczęśliwy... Nie podoba mi się mój synek... Zupelnie, moi złoci. Ma jasne, niewinne oczy, ciekawskie, dziecinne...

Moi drodzy, kto z nas nie schlebił kiedyś w życiu paskudnemu kundlowi tylko dlatego, że ten leżał u wejścia do mleczarni?

Ale skąd się tu, proszę was, bierzcie w tym dziecku?

Przełożył Stefan Dębski

Ludwik Aszkenazy (ur. 1921), prozaik czeski młodego pokolenia, znany w Polsce z przekładu zbioru opowiadań pt. „Polityka”.

— Nie wiem... chłopci są za, ale kulać nam tam brudzą. Tych pięciu by i poszło do spółdzielni, ale żaden z nich nie chce być pierwszy.

Zatrzymaliśmy się w środku wsi już po ciemku i odbywszy krótką naradę rozdzieliśmy się. Trzymałem się Franciszka chcąc widzieć, jak sobie będzie poczyniał. Nasz „filar”, średniak Anaszek, przywitał się normalnie, za to jego matka obrzuciła nas nieprzyjaznym spojrzeniem. Anaszek zacierał ręce, trzymając się głupekowania, aby jakoś zamaskować zakłopotanie. Przewodniczący zaczął okólnie. O pogodzie, o pracy, ale ponieważ nawet ślepy dostrzegłby niepokój Anaszka, więc ruszył w klusa:

— Wiesz przecież, po cośmy przyjechali. Znamy cię i liczymy na ciebie.

Anaszek najpierw zbladł, potem poczerwieniał:

— No coś ja... ja jestem z spółdzielni, ale co będzie jak się nam to nie uda? Przecie wiesz, żeśmy już kiedyś spółdzielnię mieli i jak to wypadło? Ludzie słupali wtedy przed matką, przychodziła do domu cała splekana... A teraz... ja, jakby tu powiedzieć, nie jestem przeciw, ale nie chciałbym być pierwszym...

Mówił nie przestając zacierać rąk a przy tym ukradkiem zerkał ku drzwiom do sionki, gdzie matka pilnie nasłuchiwała. Rozmowa trwała ze dwie godziny i wskutek ciągłego wymawiania się Anaszką była bardzo męcząca, a w wyniku jej „filar” zgodził się, aby następnego dnia zebrało się pięciu tych,

Vaszek Kania, prozaik i dramaturg czeski, autor znanej w Polsce sztuki „Brygada szlifierza Karhana”.

Dwa głosy o czeskiej prozie

BOHUMIR MACAK

krytyk, redaktor naczelny wychodzącego w Brnie miesięcznika „Host do domu“

W poszukiwaniu bohatera

Co by tu wyłowić z bystrego nurtu czeskiej prozy, aby połów był obfity i przypadł do gustu polskiemu czytelnikowi, którego smak kształtował się na zgola innych strawach?

Jest to kwestia odmiennych doświadczeń natury i ludzkiej, i ogólnonarodowej, inna sytuacja w czytelnictwie, kwestia tego wszystkiego, czym żył polski czytelnik w dalszej i bliższej przeszłości, tego, co w chwili obecnej każe mu klasyfikować problemy inaczej niż czytelnikowi czeskiemu, a niektórym odpowiedziami na stawiane przez życie pytania nadaje odmienne zabarwienie uczuciowe.

Ale przecież w obecnym życiu naszych narodów jest tyle wspólnego, że właśnie obraz teraźniejszości w dziele literackim jest tym, co — jak przypuszczam — znajdzie po polskiej stronie największe zrozumienie. A w tym obrazie znowu, przede wszystkim wizerunek człowieka może być najlepszym pośrednikiem w artystycznym poznaniu naszego życia. Umiejętność tworzenia przez pisarza wielkich charakterów — oto w czym każdy czytelnik winien przede wszystkim szukać siły poznawczej literatury. Niechaj i dla nas bohater powieści będzie punktem orientacyjnym w labiryncie naszej współczesnej prozy.

Proza czeska, o problematyce dotyczącej współczesności lub lat niedawno minionych, składa się, podobnie jak proza polska, z utworów wybitnych i przeciętnych, zajmujących i szarych, ambitnych i skromnych. Jest to szereg świadectw o życiu, których wartość i stopień prawdziwości są różne, zależne od tego, jak utalentowany jest obserwator, jaka idea mu przyswila, na ile artystycznie potrafi myśleć. Najbogatsza i najbardziej pełna napięcia akcja, najbardziej palący temat, wydarzenie o najatrakcyjniejszej fabule nie uratują utworu z najznakomitszego nawet stylisty, jeżeli nie znalazły uogólnienia w jakiejś doniosłej społecznej idei. Ale nawet najwspanialsza idea nie uratuje utworu, jeżeli jest on jedynie ilustracją tejże z góry założonej idei, albo jeśli jest to utwór źle napisany.

Czeska proza często grzeszyła jednostronnością przedstawieniem postaci. Był na przykład cały okres bezradności i nieświadomości, jak polączyć w artystycznym obrazie cechy jednostki czynnej politycznie z jej intymnym życiem wewnętrznym. Postacie wiarygodne na terenie swojej pracy, dojrzałe, świadomi ludzie i obywatele kroczący na czele pochodu w przyszłość nie żyli niczym innym jak tylko krokami tego pochodu. Wszystkie inne ludzkie zainteresowania zniknęły. W tej sytuacji trudno było sobie wyobrazić zarysowanie typu ludzkiego, który by dawał podstawę do wielkiej syntezy do stworzenia np. postaci tak wyrazistej i tak jednoczącej właściwości czeskiego charakteru narodowego, jak postać Szwejka po pierwszej wojnie światowej.

Nie znaczy to, że współczesna proza czeska nie stworzyła ciekawych postaci. Znajdziemy je w utworach Jana Drdy, Marii Pujmanovej, Wacława Rzezacza, T. Svatopluka. Są to jednak utwory wyjątkowe.

W chwili wyzwolenia zostaliśmy obdarzeni książką niezwykłej miary. Literacka autobiografia Fuczika w

„Reportażu spod szabienicy“ stworzyła z miejsca prawdziwy typ bohatera literatury socjalistycznej, typ komunisty walczącego w warunkach okupacji hitlerowskiej. Fuczik to naga prawda życia. O tę odnalezioną, podstawową prawdę mogła się oprzeć każda dalsza próba stworzenia w literaturze obrazu walczącego komunisty. Ale przykład literacki widać nie wystarczy. Potrzebna jest tu jeszcze znajomość życia.

Gdybym z niezliczonej ilości tych eksperymentów mógł — jak się to dawniej pisało w ankietach — zabrać z sobą na bezludną wyspę jedną tylko książkę, wybrałbym książkę Fuczika i poprosiłbym, żeby mi jeszcze do niej dodał rozdział zatytułowany „Patrz wyżej“ z powieści Marii Pujmanovej „Życie zwycięża śmierć“. Ten rozdział to zaledwie 20 stron obszernej powieści. Stanowi on punkt kulminacyjny opowiadania autorki o życiu pracującej w konspiracji działaczki komunistycznej, Heleny Gamzówny. Z tą bohaterką powieści przeżywamy jej ostatnie chwile od momentu, kiedy opuszcza celę więzienną, skąd zostaje odwieziona na miejsce egzekucji. Są to chyba najpiękniejsze i najlepiej napisane karty czeskiej współczesnej prozy. „Życie zwycięża śmierć“ należy z pewnością do najlepszych pozycji czeskiej prozy, ale przecież trudno nam się pogodzić z kompozycją tej powieści, z jej akcją zakrojoną tak szeroko, że uniemożliwia pogłębienie charakteru którejkolwiek z głównych postaci. Życie zaskoczyło autorkę, oparło się wiedzom powieściowej kompozycji. Powieść „Życie zwycięża śmierć“ jest bowiem ostatnim tomem trylogii powieściowej, którą autorka zaczęła pisać przed drugą wojną światową. Nie mogła wtedy przewidzieć, jak potoczą się losy jej bohaterów, ani do jakich rozmiarów rosnąć się rozpoczęta akcja. Chcąc w trzecim tomie dać pełny obraz walki z faszystowskim terrorem, autorka postanowiła uwidocznić wszystkie kluczowe pozycje tej walki. Powieść rozpadła się na szereg luźnych wątków. Musiały za to zapłacić postaci bohaterów. Wystarczy porównać bogactwo rozwoju wewnętrznego jednej z głównych postaci pierwszego tomu, Andrzeja Urbana, z ubóstwem i jednostronnością, z jaką został on pokazany w tomie trzecim, żeby zrozumieć, jak świetnej autorce postać bohatera rozplywa się niemal że w schemat.

W Helence Gamzównie stworzyła Pujmanova typ fuczikowskiego bohatera walczącego o przyszłość świata. Jest rzeczą ciekawą, że typ ten miał swego poprzednika w postaci spontanicznego bohatera-patrioty, dalekiego od pełnej świadomości politycznej. Jan Drda stworzył taki typ w szeregu opowiadań w książce pt. „Milcząca barykada“. Za przykład może służyć postać profesora Malka z noweli „Wyższa zasada“. Profesor Malek zapatrzonny w wyższe zasady moralne, w momencie gdy faszysti mordują jego uczniów w odwecie za udany zamach na Heydricha, protestuje najpierw gestem moralnym, potem zaś działalnością konspiracyjną. Charakterystyczne, że chcąc pokazać dalszy rozwój takiego „apolitycznego patrioty“ autor musiał w następnej książce stanowiącej dalszy ciąg opowiadania „Wyższa zasada“, w powieści „Krasna Tortiza“ — postać go

najpierw na „przeszkolenie polityczne“ do komisarza partyzanckiego „otrądu“, by dopiero potem, już po oswobodzeniu, uczynić go budowniczym jakiejś spółdzielni produkcyjnej. Zarówno książka Pujmanovej, jak „Milcząca barykada“ i „Krasna Tortiza“ Drdy są w pierwszym rzędzie holdem złożonym prostemu człowiekowi, jego bohaterstwu bez wielkich słów i gestów.

Stworzenie typu komunisty w nowej sytuacji, w latach budowy nowego życia, było poważnym zadaniem czeskiej prozy fuczikowskiej. Cel ten udało się osiągnąć literaturze czeskiej dopiero w 5 lat po oswobodzeniu, w powieści Wacława Rzezacza „Powrót“. W chwili oswo-

(Dokończenie na str. 7)

FRANCISZEK HRUBIN

poeta czeski (ur. 1910)

PIEŚŃ MIŁOŚCI ŻYCIA

Kiedyś muszę was rzucić, lazururowe wody,
Was, pagórki, na grzbiety gór niżutkie schody,
Sierpniowe noce, żadnej niepomnie rozłąki,
Was, lipy strojne brzękiem, drogocenne łąki,
Dziwanny, wobec których płomien świeć się łamie,
Kiedyś muszę was rzucić, nie nie pozostanie.

Dla mnie nic nie zostanie, chmurne słońce lata
Rozłeczy znowu blask swój po krawędzie świata,
Trąbki pogrzebne znowu sny dziewczęce trwożąc
Cudzy żal uroczysty nagłym dreszczem zmrozą.
Znowu tyrały świeższe brzmień będą wśród trawy,
Któręć tak będą obce moje błędne sprawy.
Znowu trąbki z płuc młodych pić będą swe granie.
Dla mnie z tego na wieki nie nie pozostanie.

Kiedyś wszystko porzucę, smutku, mocny błędzie.
Zawsze żyć było słodko, zawsze słodko będzie.
Znów młodzi będą nocą księżyc brać za słońce
I z oczu swych zdejmować światło gwiazd drgające,
Znów olśniewy czubami trzęsąc ponad wodą
Pobiegną obok rzeki, gdzie marzyłem młodo.
Nadał morze dróg mlecznych będzie kłpieć w pianie,
Snuć swych marzeń kosmicznych człowiek nie przestanie.

Zrenicie lunet głębiej, głębiej się zanurzaj
W bezdno nocy i lustra ozarodziejskie zburzaj.
Znów księżyc w snach dziecięcych będzie jak cukiernik,
Który maką ośpył wielki niebios piernik,
Znów księżyc jak kobieta, co w omdleńiu czeka,
Strasiliwie wabić będzie do siebie człowieka.

I choćbym, o jesieni, stokroć więcej rzucił,
Nie chcę, by mi placzliwy chór twych wichrów nucił,
Niech zakończy się wszystko, krzywdy i zgrzyoty,
Które jak czerw drażniły serce, uczuće słoty,
Niech skończy się miłości ból błogosławiony,
Niech dalej maj rozbiłyska poprzez pszczoł welonny,
Niech za pługami glina wznosi się i spada
Jak skrzydła, niewolnictwo wre na barykadach,
A biedny z bogaczami, z zbrodą skał w przymierzu,
Walcz o ziemię, którą trudem własnym zmierzyl,
Niech puszcze, oceany bronią praw surowych,
Niech wybiera rzeczywistość do zawrotu głowy,
Bo im jest bardziej strona, tym więcej pewności,
Ze kiedyś na jej szczytce zagrzmi dzwon rozgłośny
Na cały wszechświat, wtenczas niech grozi i sarka,
Ciska mrozem i cieniem — Śmierć — odwieczna Parka.

Nim to wszystko porzucę, niech mnie znów owieją
Sprawy, którymi żyłem, spłizowy głos dzieł,
Radość, że znów rozkwitła świat śmierci wyrwany
I miłość do człowieka, co kruszy kajdany,
I to pragnienie, z którym pieśń pisałem całą,
Aby życie nad śmiercią bólem triumfowało.
Wtedy znowu mnie pochłonie wielka miłość ziemi.
Bez tej miłości byłbym jako kamiień niemy.

Przełożyła Anna Kamińska

ANTONI JELINEK

krytyk młodego pokolenia, współpracownik „Literarnich novin“

Proza a współczesność

wśród przedstawicieli sztuki: współczesność = schematyzm.

Przeglądając nasze czasopisma literackie, czy też plany naszych pisarzy łatwo zauważyć, że problematyka historyczna ma w naszej prozie pewną przewagę. Są nawet pisarze, którzy jednym bodaj opowiadaniem czy szkicem nie spróbowali dać odpowiedzi na któreś z pytań, jakie stawia przed nami dzień dzisiejszy.

Literaturę historyczną tworzą dziś przy tym w większości właśnie ci autorzy, którzy za pierwszą republikę pisywali na tematy pasjonujące zarówno ich samych, jak i ich otoczenie. Co prawda były to często specyficzne problemy i specyficzne, prze-psychologizowane powieści, niemniej jednak, w istotnym sensie — współczesne. A dziś, po dłuższym okresie milczenia pisarze ci znowu zdobywają sobie miejsce w literaturze utworami, w których widać wprawdzie uparte i rzetelne usiłowanie znalezienia drogi do realizmu, znalezienia nowych podstaw twórczości, ale w oparciu o tematy historyczne.

Siłą rzeczy przypomina się nam, jakie znaczenie — w dużo trudniejszych i pełnych nerwowego napięcia warunkach twórczości i życia osobistej — miała dla rozwoju ideologicznego i artystycznego choćby Erenburga, Szaginan, Aleksego Tolstoja i innych, pierwsza radziecka pięćdziesiątka. Niechodź tu już o historię jako o krąg tematyczny tych naszych pisarzy, ale o ich stosunek do współczesności w ogóle, o to, że ich szczerze na pewno rzetelne usiłowanie, by stać się użytecznymi naszej epoce, idzie drogą bardzo okreśną. Odgrzeźdzeni materiałami archiwalnymi nie potrafili przejąć się wielkością i patosem dnia dzisiejszego. Szkoda, gdyż pisarze ci posiadają to, czego całkowicie brak odzyskują młodzi, którzy z większą siłą i większym uporem kształtują obraz współczesnego człowieka: posiadają styl, znajomość praw kompozycji, ukształtowaną i wypracowaną formę. A nie jest to sprawa drugorzędna w okresie, kiedy wciąż jeszcze odczuwamy dotkliwie dziedzictwo niedawnej przeszłości, która w imię palących potrzeb chwili beczące i jej tempa zalała sztukę powodując żyjącej w wiecznym pośpiechu żurnalistyki.

Wielu sądziło wtedy, że niewykończenie i surowość dzieła sztuki jest jego zaletą, ponieważ odzwierciedla niewykończoną, surową „prawdę“ życia. Teoretycznie jużemy się z takimi i temu podobnymi trudnościami uporał. Mimo to zamiar napisania współczesnego utworu wciąż jeszcze związany jest z wielkim ryzykiem, nie tylko ze względu na brak zaufania, z jakim się do takich utworów odnoszą liczni pracownicy kultury, ale głównie ze względu na szereg wstępnych niepowodzeń, które każdy utwór, jeżeli chce zająć trwałe i poważne miejsce w literaturze, musi przezwyciężyć. Innymi słowy, każde dzieło o tematyce współczesnej musi swoim poziomem dowieść że wspomniane wyżej równanie nie ma wartości. Dla tych, którzy czynią próby w tym kierunku, którzy zdobywają dla literatury nowe terytory, mocne oparcie stanowi jed-

no: ogromne zainteresowanie czytelników utworami o tematyce współczesnej. W wielkiej ankiecie radia czeskiego, w której wzięły udział dziesiątki tysięcy czytelników, zdecydowane zwycięstwo odniosły właśnie książki współczesne. Spośród najnowszych była to „Bitwa“ Wacława Rzezacza* i „Rocznik jedenadwac“ (Rocznik dwadzieścia jeden) Karola Ptacznika.

Powieść Karola Ptacznika „Rocznik dwadzieścia jeden“ stała się swego czasu wielką sensacją w literaturze czeskiej. Autor nowy, debiutant, pierwszą swą powieścią zajął poważne miejsce wśród naszych pisarzy. Porwał nie tylko problematyką, do której sięgnął pierwszy, (książka mówi o losach naszej młodzieży z rocznika 1921, wywiezionej przez hitlerowców na roboty do Rzeszy) ale przede wszystkim swym rzemiosłem pisarskim. Ostatnio dużo mówi się niestety o usterekach tej książki, o błędach w kompozycji, w konstrukcji postaci, o tym, że autor idealizuje obraz życia w Rzeszy, nie mówi się natomiast zupełnie o oczywistych dowodach talentu pisarza, o zwartym, wręcz drapieżnym stylu Ptacznika, który zjednał mu tytuł czytelników, o świetnych sylwetkach faszystów, doskonale skreślonych scenach (np. sceny bombardowania) itp.

Nie zawsze bowiem uświadamiamy sobie, że historia krytyki jest historią myślenia, i to myślenia docieklivego, a nie historią pozytywów i negatywów poszczególnych książek. Prace autorów, którzy piszą na tematy współczesne, kryją w sobie rozległe możliwości. Na monotonie nie możemy się u skarzać. Mamy pisarzy o wybitnie różnych indywidualnościach.

Jan Drda urzeka wyjątkowym talentem, umie uchwycić całe bogactwo czeskiego charakteru. Operuje językiem soczystym i jędrnym, opartym na trafnym wniesieniu w istotę ludowości.

Jerzy Marek jedna sobie czytelników trafnym oddaniem charakteru i języka robotnika czeskiego, jego humoru i poezji, jego mądrości i ukochania pracy.

Ludwik Askenazy ujmuje szczególnie, pełną poezji atmosferą, jaką tętni jego opowiadania i proza liryczna: atmosferą, w której kryje się tesknota za czystością ludzkich uczuć, za życiem jasnym, pełnym miłości. Proza jego niby rysunek o delikatnej kresce oddać potrafi najsuktelniejsze odcienie ludzkich przeżyć.

K. F. Sedlaczek porywa odważą swę powieści „Zavod ve stinu“ (Fabryka w cieniu — dotychczas wyszedł tylko jeden tom) mówiącej o walce z wrogiem wewnątrz partii, walce robotników w obronie wielkiej budowy, na której działa dywersant. Styl Sedlaczka jest prosty, mocny, nie unika też pewnej brutalności. Nie do każdej sytuacji styl taki pasuje. Mimo to powieść Sedlaczka posiada dużą wartość przede wszystkim dzięki pełnej ekspresji postaci głównego bohatera. Tam właśnie postać uświadamia nam, jak błędna i zgubna jest jedna z tradycji współczesnej po-

(Dokończenie na str. 7)

*) O utworze tym pisze w swym artykule Bohumir Macak. (Przypisek red. „Nowej Kultury“).

którzy są „za“ i porozmawiali o raz wybrali ewentualnie komitet założycielski.

Anaszką pozostawiliśmy w izbie na polu zlanego, a jego matula odpowiedziała na nasze „dobranoc“ ostrym lypnieciem oczu. Mogę sobie wyobrazić, jak się potem przejechała po synu. Na pewno o nich też nocy nie spano, tylko kłóccono się w dalszym ciągu.

— Jak myślisz, Franciszku, zbierze się jutro tych pięciu? — spytałem za bramą przewodniczącego.

— Idź-że, coś ty znowu?

— To znaczy, że widoków jakby nie było?

— Widoków... widoków... Dlaczego miałoby ich nie być? My się może na tej wsi zatrzymamy, ale rozwój się nawet tutaj nie zatrzyma. Tutaj też będzie spółdzielnia — i jaka jeszcze!

Zgodnie z umową ruszyliśmy do drugiego „filara“, do t o w a r z y s z a z K r h o u n a . Ten był bardziej szczerzy niż Anaszek.

— Ja więc... jestem z spółdzielni, ale — jak będzie z siłą robotniczą? My tu wszyscy już starsi, młodzi w mieście, w fabrykach, sklepach, urzędach i szkołach... Maszyn... Maszyn dobra rzecz, tylko maszynami wszystkim nie zrobisz... Słuchaj, towarzyszu przewodniczący, ja ci coś powiem: dlaczego wy dopuszczacie, żeby młodzi odchodzili ze wsi? O, masz tu przykład w sąsiedztwie. Siedem hektarów, troje dzieci, wszystkie w mieście i matka haruje na tym samą. Możesz przejść numer za numerem — kto w tej spółdzielni będzie wychodził do roboty? Baby? Starzy dziadkowie? Jaka to dnieówka wypadnie?

Krhoun miał do pewnego stopnia rację. Przeciętny wiek osób faktycznie pracujących na roli wynosi w powiecie włazimskim 50 lat. Młodzię ze wsi odchodzi, odchodzą też chłopci zdolni do roboty.

No tak, Krhoun wprawdzie sam wie, że jednak tak tragicznie z tą spółdzielnią nie byłoby, warunki w gromadzie są, i ludzie są. On jest „za“, ale... musi się wymawiać. Matki nie ma, nie wzbrania mu jak Anaszkowa swemu synowi, żona też jest za spółdzielczością...

— Gdyby zależało tylko ode mnie, to bez namysłu powiem „zgoda“. Jeżdż do siostry w Beneszowskie, tamci mają wszystkie wrobd, żeby tak u nas taka spółdzielnia... Wierzcie mi, że jak od siostry przyjadę, to wcale mi się nie chce robić. Człowiek się tu tylko zdziera niepotrzebnie...

Krhoun w końcu też się zgodził, by się pojutrze zebrał i sprawę omówił. Zdawało mi się, że to „filar“, z betonu, że można na nim budować spółdzielnię i sprzeczać się o to z Janatą i Frajtkiem. Wierzyłem mocno, że się ta wzbudząca nadzieje piątka pojutrze zbierze.

Przyjechaliśmy za dwa dni. Nie zebrała się. Po naszej wizycie dwaj miejscowi kuliacy sprowokowali we wsi istną burzę. Ruszyliśmy szukać naszych „filarów“ po domach. Nie schowali się wprawdzie po stodółach i pasiekach, jak się to zdarzyło w innej wsi tego samego powiatu, ale dogadali się nie było sposobu. Matka Anaszka omal nas nie zabiła samym spojrzeniem, a Anaszek wykręcał się jak glista:

— „kiedy, ja, wiecie, nie wiem,

ja bym, ale... ja pierwszy... zjedzą mnie, z matką nie wytrzymam. A niech to wszyscy diabli, jak Krhoun podpisze deklarację, to i ja...“

Krhoun dał się namówić i przyszedł do Anaszków. Mówiąc poetycznie zakradł się tam pod osłoną nocy. Wyglądał jak z krzyża zdjęty, jakby za chwilę miał iść na szafot. Frajtrak przysiadł koło niego z jednej strony, Janata z drugiej:

— No, towarzyszu Krhoun, jesteś przecie komunistą...

— Pewnie, komunistą... ale ja chcę żyć... Człowiek się tego dorobił z takim trudem, a...

— ...a teraz przychodzą komuniści i chcą ci to wszystko odebrać, co?

— Jakże to, ty wariacie, czy partia chciałaby zrobić coś złego dla ludu? Sądzisz, że chce mieć chłopów przeciw sobie? Sama pragnie, żeby im się źle wiodło?...

— Ja wiem, że nie, partia chce naszego dobra, ale zrozumcie mnie, pierwszy podpiszę deklarację, a potem może się to nie udać i co wtedy?

Widzę, że chłopci nie są w gruncie rzeczy przeciwni spółdzielni. Ale obawa przed tym, żeby nie być „tym pierwszym“ prowadzi ich nieraz do granic śmieśności.

Anaszek na pół siedzi — na pół leży na otomanie i z podnieceniem obserwuje Krhouna. Zadowolony, że jemu samemu dali przyzwolenie na chwilę spokój. Towarzysz z sąsiedniej wioski przyszedł i przekonuje Krhouna:

— Słuchaj, Krhoun, przypominaj sobie tylko, jak zawsze jeździłeś przed pierwszym majem po drzewką do ozdobienia sali, byłś komu-

nista, nigdyś naszej idei nie zdradził, walczyłeś tu o nią...

Obrobił Krhouna „na miękko“, chłop omal-że się nie rozplacze. Zakłótył cały, soba, podniósł znekąną twarz i zamachał wielkimi rękami:

— Masz rację, ale to ogromnie ważny krok, tu chodzi o być albo nie być...

Mówi i zachowuje się śmiesznie, ale mnie się wcale nie chce śmiać. Jest w tym jego decydowaniu się coś tragicznego, ogarnia go lęk przed niepowinnością. Krhoun to drobny rolnik, proletariusz wiejski, z trudem stawiał dotąd powolutku kroczek po kroczku, aż tu naraz żądają od niego, aby pomazszerował pełnym krokiem naprzód. Tak, jest członkiem partii, ale nie komunistą. Jeszcze długo nie. Gdyby nim był, nie lekaby się odważnego kroku. Wyobrażam sobie w myślach, jakby ten dramatyczny moment wyglądał na scenie i jestem pewny, że ludziom zapałoby dech w piersiach.

Ciężka, ciężka decyzja. I święta, a może i więcej niż święta cierpliwość tych, co tu całymi godzinami przekonują dwóch chłopów o czymś, co dla ciebie jest oczywiste. Może się wam wydaje, że to trud daremny, ale wierzcie, że tak nie jest. Nie żądajcie od powiatu, żeby wam określili termin, do którego powstanie tu spółdzielnia, ale wierzcie razem z przewodniczącym Janatą, że i tutaj ona powstanie.

I ja także nie wierzyłem, kiedy po północy sytuacja uległa pogorszeniu. Janata wyjął z kieszeni zgłoszenia a przed dwoma „filarami“ znowu cały świat zawiorała. Anaszek tak się przyparł do ścia-

ny, że chyba tylko cudem nie przebił jej do mieszkania sąsiadów, a Krhoun poczapał w stronę łózka i stał tam — istny obraz bożej męki, mówię całkiem serio. Pióra od nas przyjęli ze wzdraganiem, jak zawstyżone dzieciaki biorą z rąk nieznanym „stryków“ cukiernik, a towarzyszy Frajtrak podłatywał to do jednego to do drugiego. Daremnie.

— Jak Krhoun podpisze, to ja też...

— Niech Anaszek podpisze, wtedy i ja...

Widzę już jasno, że oba „filary“ są z gliny, trudno na nich budować. Ale Janata i Frajtrak jeszcze się nie poddają. Proponują:

— Macie tu, chłopcy, zgłoszenia, podpiszcie je i zatrzymajcie u siebie. Jak się namyślicie, to nam je dacie, w przeciwnym wypadku możecie je nawet spalić.

Wzięli zgłoszenia, pióra im się trzęsą w rękach, jeden spogląda na drugiego:

— No, Krhoun, tyś starszy więc podpisz pierwszy, ja po tobie.

— Ty masz większy grunt, podpisz ty...

Odjechaliśmy nie nie osiągnawszy. W oknach domów jeszcze się świeciło. To sąsiedzi czekali na wyniki rozmowy. Posmutniałem z tego wszystkiego, ale Franciszek był w dobrym humorze, Frajtrak także, tylko kierowca Marsziczek kłął oba „filary“ tak, że trudno by tu powtarzać. Nawet papier by nie wytrzymał...

— Ot i nasz problem — powiedział do mnie Franciszek. — A teraz zatrzymamy się jeszcze w jednej spółdzielni, zobaczymy jak im idzie z młócką, mieli ją robić w nocy,

Ogromnie mnie tym pocieszył, byłem rad, że jednak ujrzę tej nocy jakichś pozytywnych bohaterów. Staliśmy przed domem przewodniczącego owej spółdzielni. Nie było go. Żona nam powiedziała, że młóci koło brogu, za wsią.

— No-no, a więc jednak m i o c i . — Towarzysze! Nie chciałem się wprost wierzyć. Podjechalismy więc do owego brogu za wsią.

Kierowca Marsziczek znów kłął co wlezie.

— Nie wiercie, że młóci... Ja ich znam lepiej...

Zbliżając się do brogu widzieliśmy jednak tylko ciemność.

— A co wam mówilem? — krzyczał Marsziczek, ale Janata mu przerwał:

— Chwileczkę, młóca jednak, widzę światło...

Istotnie koło brogu huczała młocarnia a wokoło biegali ludzie, trzymając w rękach baterijki. Znaleźliśmy tu przewodniczącego spółdzielni, który nas serdecznie powitał a jakas zachowała baba raz-dwa pośpieszyła ku nam z faszka i kieliszkiem:

— Chyba mi nie dacie kosza?.. Odmówiliśm jednak, i ja, i pozostał. Byłem wiecieki podobnie jak Janata i Frajtrak.

Bo młóci, owszem, ci spółdzielcy — plony z działek przyzagrodo- wych. Jakby się im paliło...

Ledwieśmy wsiadli do auta, przewodniczący Franciszek Janata natarł na mnie:

— No i widzisz. Chciałeś rozmawiać o problemach. Masz je tutaj.

Mam, i wiem już także co robi powiat.

Przełożył Stefan Dębski

JERZY HAJEK
krytyk, współpracownik „Literarnich novin“

Głosy krytyczne o nowym czeskim dramacie

STARY I NOWY DRAMAT

Niedomaganiem dramatu czeskiego lat dwudziestych i trzydziestych nie był brak talentów, lecz brak jasnych celów społecznych, głębokich pożytków etycznych, brak wielkiego posłannictwa. Nasze czasy wyznaczyły dramatu zadanie wielkiej wagi w przebudowie życia społecznego. Dali mu jako bohaterów — rewolucjonistów, ludzi czynu, którzy pracę ludzką uczynili potężną dźwignią przemiany życia, źródłem duchowego wzrostu człowieka. Ukazały mu wielkie konflikty społeczne, których widownia jest cały świat. Dali mu dumną świadomość, że czeski i słowacki lud kroczy w szeregi awangardy całej ludzkości. Dzięki swemu historycznemu charakterowi, dzięki swej treści i swemu znaczeniu — nasza epoka stworzyła wielkie możliwości odrodzenia dramatu.

Dramat z końca ery burżuazyjnej usiłuje, najczęściej programowo, stronić od konfliktów społecznych albo przynajmniej stwarza pozory, że stoi poza tymi konfliktami. Zgodna z tą tendencją jest metoda przedstawiania rzeczywistości w dramacie: obrazuje on wydarzenia z życia ludzi oderwanych od warunków społecznych i historycznych; ludzie ci przeżywają swoje koleje losu w sztucznym świecie rzekomo ogólnoludzkich idei, problemów moralnych i namietności. Ta „ogólnoludzkość“ idei oraz moralnych i estetycznych pojęć jest oczywiście złudzeniem lub zakłamaniem: bohater starego dramatu, istota — w założeniu — ponadklasowa, niehistoryczna, w rzeczywistości — jest zawsze przedstawicielem mieszczaństwa lub innych klas społecznych, pozbawionym jednak swego społecznego charakteru i przystosowanym do mieszczańskich wyobrażeń.

Realizm socjalistyczny świadomie

wprowadza do dramatu konflikty społeczne naszych czasów. Nowy dramat obrazuje zdarzenia, czyny, charaktery, myśli i uczucia ludzi danego społeczeństwa i danej epoki, ludzi, którzy w swoich indywidualnych losach przeżywają losy swoich klas, którzy swoimi czynami — świadomie lub nieświadomie, pozytywnie lub negatywnie — uczestniczą w historycznych zadaniach swojej klasy.

Słabość czeskiego dramatu w latach wielkiego ideologicznego przełomu po roku 1948 wypływała przede wszystkim z fałszywego założenia, że iść drogą realizmu socjalistycznego — oznacza stworzyć metodą laboratoryjną jakiś zgola nowy dramat, zwalczający wszystkie stare. Dzisiaj zaczęliśmy rozumieć, że kroczyć drogą realizmu socjalistycznego w twórczości dramatycznej, czyli przedstawiać historyczną i społeczną rzeczywistość — znaczy nawiązywać do realistycznej metody wypracowanej w wielkich przełomowych epokach dramatu wszechświatowego. U nas chodziło o tu przede wszystkim o nawiązywanie do tradycji klasyków dramaturgii czeskiej XIX wieku.

Tak jak dla wielkich dramaturgów przeszłości — dramat staje się znów i dla nas s a d e m n a d r z e c z y w i s t o ś c i a, sądem, który pewne społeczne i moralne zjawiska zwalcza, inne zaś ocenia pozytywnie i pragnie zapewnić im zwycięstwo. Dążymy do tego, aby nasz sąd był wezwaniem do nowych czynów, aby pobudzał społeczną aktywność, dopomagał do utrwalenia ideałów moralnych społeczeństwa socjalistycznego. W przeciwieństwie do dramatu z końca epoki burżuazyjnej nie chcemy wywoływać tanimi efektami tanich emocji, służących blahym celom: siłą oddziaływania nowego dramatu wypływa z mocy i zdolności przekonywania i budzenia w nas świadomości piękna ludzkich czynów, myśli i uczuć, które sprzyjają roz-

wojowi nowego społeczeństwa, wewnętrznemu wzrostowi i szczęściu człowieka.

KILKA ETAPÓW PIERWSZEGO DZIESIĘCIOLECIA

W dziedzinie dramatu czeska i słowacka literatura zdobyła swoje pierwsze twórcze doświadczenia w przedstawianiu naszej teraźniejszości. Po roku 1948 dramat staje się najbardziej pociągającym rodzajem literackim dla nowych pisarzy, których twórczość jest ściśle związana z naszym dniem dzisiejszym. Pisarze ci szukają w dramacie — z początku często jeszcze kosztem zaniedbywania najistotniejszych cech dramatu, bez znajomości jego specyficznych środków wyrazu — najbardziej bezpośredniej możliwości przedstawiania rewolucyjnych przemian, które dokonują się w życiu. Pierwsze sukcesy są okupione ciężkimi stratami: „koszty handlowe“ dojrzewania nowego dramatu są początkowo bardzo wysokie. Obok zupełnie nieudanych powstają sztuki, których wartość społeczna jest krótkotrwała i ograniczona. Często jednak właśnie ich braki służą — jako cenne wskazówki — dalszemu rozwojowi dramatu a nawet prozy. Rozwój twórczości dramatycznej w latach 1948 — 1950 jest tak szybki, że równocześnie z pracami o znaczeniu tylko przygotowawczym powstają także pierwsze pełnowartościowe dzieła, które możemy zaliczyć do trwałych sukcesów nowej metody twórczej.

Zbyt ni pośpiech, straty i niepowodzenia pierwszych lat po roku 1948 mszczą się w następnym etapie, kiedy pod wpływem pewnych tendencji, przejawiających się wówczas w czeskiej literaturze, następuje w większości teatrów gwałtowny spadek zainteresowania współczesnym dramatem. Zjawisko to jest związane również z ogólnym zastojem w twórczości dramatycznej. W tym okresie tylko wyjątkowo powstają dzieła przewyż-

szające przeciętność. Dopiero dwa ostatnie lata możemy uważać za początek etapu nowych osiągnięć współczesnego dramatu, w którym jednakże znajdują wyraz nierozwiązane do końca problemy artystyczne poprzedniego okresu. Główne przeszkody w rozwoju czeskiego dramatu w latach 1948 — 1950 tkwiły przede wszystkim w niewłaściwym spojrzeniu na życie, w idealizowaniu, w statycznym, pedantycznie moralizującym ujęciu pozytywnych bohaterów, w spłaszczeniu i wyglądaniu wielkich konfliktów społecznych. Nie można powiedzieć, że już całkowicie wyżyliśmy się tych błędów. Ogólnie jednak biorąc błędy te schodzą na plan dalszy, na czoło zaś wysuwają się obecnie zagadnienia kompozycji i formy dramatu.

SAMOKRYTYCZNA HISTERIA I RZECZYWISTE OSIĄGNIĘCIA

Ubiegłych dziesięć lat — to okres burzliwy, pełen napięcia i wahań. Dokonywały się wówczas bolesne nieraz i ciężkie procesy, które pochłaniały wiele energii i siły, a przy tym nie zawsze dawały wyraźne i skrytalizowane wyniki. Porównując pierwsze dziesięciolecie dramatu z dziesięcioleciem czeskiej prozy widzimy, że trwałych, rzeczywistych osiągnięć, które będą miały istotną wartość dla następnych dziesięcioleci, jest na razie w dramacie nieco mniej niż w prozie. U niektórych ludzi wywołuje to niekiedy historyczne ataki sceptycyzmu. Taka histeria uniemożliwia zarówno dostrzeganie rzeczywistych osiągnięć, jak i uświadomienie sobie, w jakim kierunku należy obecnie zwrócić twórczy wysiłek. Wyglaszanie sądów o współczesnym dramacie jak gdyby w imieniu przyszłych stuleci jest rzeczą wielce niebezpieczną i ryzykowną, a także trochę śmieszną. Historia czeskiego dramatu dostatecznie nas poucza, iż ci, którym się zdawało, że przypuszczają szturm do bram wieczności, zdobywali najczęściej

sztuczny ogień, oślepiający snobów na jeden lub kilka sezonów.

Nie ośmielał się wygłaszać sądów w imieniu naszych wnuków i prawnuków. Myślę, że będą oni mieli własne poglądy i własną kryterię, wiem jednak z całą pewnością, że będą to poglądy i kryteria ludzi kochających sławną przeszłość swojego kraju, który już w połowie XX wieku znalazł się tam, gdzie urzeczywistniały się wielkie nadzieje ludzkości. Myślę, że do naszych potomków przetrwać będą najbliższą i najgorętszą mową dzieła, które powiedział im, jak żyliśmy, czym była i co oznaczała nasza epoka.

W pierwszym dziesięcioleciu powstało już kilka dramatów, które realizują ten postulat. Niektóre z tych dzieł reprezentują artystycznie szczyty naszych wysiłków. Są to: mocny i namiętny dramat Stehlika o czeskiej wsi podczas ostatniej wojny pt. „Zbojecki jar“ („Mordová rokle“), a z jego współczesnych sztuk przede wszystkim „Kawalerowie orderów“ („Nositele rządu“); dalej — bohaterski dramat Jarisa z pierwszych dni hitlerowskiej okupacji pt. „Przysięga“ („Prísaha“), jak również jego dramatyczny poemat z początków czeskiej dziejów narodowych pt. „Bolesław I“ („Boleslav I“); następnie — sztuka pt. „Igraszki z diabłem“ („Hratky s čertem“) Jana Drdy, gdzie autor wzorując się na dziełach J. K. Tyla wykorzystwał symbolikę czeskich ludowych baśni dla zobrazowania najcenniejszych cech charakteru ludu czeskiego, które wytrzymały próbę hitlerowskiej okupacji. Są to wreszcie: niesłusznie zapomniana sztuka nestora czeskich dramaturgów L. Suchého „Garstka wiernych“ („Hrsta věrných“) oraz udana przeróbka sceniczna J. Nezvala powieściowej kroniki Zapotockiego „Przyjdą nowi bojownicy“ („Vstanou novi bojovníci“).

Jestem jednak przekonany, że do trwałych osiągnięć nowego dramatu należy jeszcze kilka innych

sztuk, które trafnie i wyraziście uchwyciły może tylko jeden, dwa typy ludzkie, tylko niektóre cechy charakterystyczne naszego życia. Do tych sztuk należą przede wszystkim „Brygada szlifierza Karhana“ („Parta brusice Karhana“) Kani, sztuka, która dokonała największego przełomu w rozwoju naszego współczesnego dramatu. Zalicza się do nich również „Duchcowski wiadukt“ („Duchcovský viadukt“) Čadcha, „Dobra pieśń“ („Dobra píseň“) P. Kohouta, „Szczęście nie spada z nieba“ („Štěstí nepadá z nebe“) J. Klimy, satyryczny montaż Jelinka „Skandal w galerii obrazów“ („Skandal v obrazárně“), dramal Urbana „Kolorowa zapora“ („Barvna hráz“) o współczesnej Ameryce, „Droga łososiów“ („Cesta lososů“) Stanislava, poważne i świadczące o talencie próby takich autorów, jak O. Szafránek, J. Ztrtal i Fr. Raciak oraz debiuty O. Danka, J. Nesvadby, I. Topola i innych.

A jednak pomimo dotychczasowych osiągnięć znajdujemy się dopiero w początkowym etapie walki o wprowadzenie — jako czynnika odradzającego twórczość dramatyczną — tematyki zacierpniętej z nowego życia i o przeobrażenie życia przy pomocy socjalistycznego dramatu. Cenne wyniki, które osiągnięliśmy i dzięki którym nasze dziesięciolecie zapisało się do najplodniejszych okresów w historii czeskiej dramaturgii, stanowią za ledwie prolog tej wielkiej ery socjalistycznego dramatu, ku której zmierzamy.

TWÓRCZA ŚMIAŁOŚĆ I PISARSKA ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Naszą obecną sytuację można w skrócie scharakteryzować na podstawie dwóch ostatnich sztuk najbardziej utalentowanego współczesnego czeskiego dramaturga M. Stehlika. Jego „Kawalerowie orderów“ są jednym z najśmielszych i najdonioślejszych dzieł nowej czeskiej literatury w ogóle. Jest to dramat posiadający mocną postać głównego bohatera — garnika, racjonalizatora i przodownika, który właśnie u szczytu swych osiągnięć przeżyje najostrzejszy kryzys w swym stosunku do społeczeństwa i ulegnie gwałtownemu paroksyzmowi chorobliwej żądzy sławy i drobnomieszczańskiego indywidualizmu. Jest to dramat, który zmusza widza do oceny własnych czynów i przeanalizowania swoich pobudek, wewnętrznych, sztuka pełna poważnych, niepokojących problemów, nasycona wiarą w odradzającą moc takiej przyjaźni i takiego zaufania do człowieka, jakie mogą rozwinąć się tylko wśród towarzyszy, wśród ludzi walczących o wielki, ponadosobisty cel.

Zupełnie inny charakter ma ostatnia sztuka Stehlika z życia dzisiejszej wsi czeskiej „Wysokie letnie niebo“ („Vysoké letní nebe“). Ta sztuka również jest wyrazem dążenia do śmiałego ujawniania nowych konfliktów, konfliktów naszego życia. Sygnalizuje ona wiele poważnych problemów i zarysowuje kilka znakomitych postaci. Ma szereg mocnych dramatycznych sytuacji i odznacza się żywym dialogiem. A jednak ostatecznie wychodzi z teatru niezadowolony. Moim zdaniem — dlatego, że Stehlik cofnął się w niej z pozycji artysty-myśliciela, odczuwającego współodpowiedzialność za nasze życie, i znalazł na pozycji widza, jakiegoś zbieracza najróżniejszych konfliktów życia. Należy mu wytknąć nie zbyt dużą ostrość i nadmiar konfliktów, ale to, że nie potrafi z nimi dać sobie rady. Oczywiście nie żądamy od dramaturga, aby nam dostarczył łatwych i zapewniających skuteczną receptę, jak na przykład podnieść wydajność mleczną krów itp. Chcemy natomiast, aby przez gęstwinę konfliktów i problemów przedarł się do poetyckiego poznania bohaterów, ich właściwości moralnych oraz tych doświadczeń i warunków, które w naszym życiu umożliwiają nowemu społeczeństwu kroczenie naprzód, które sprawiają, że społecznie produkcyjne, jeszcze wczoraj pracujące najgorzej, dzisiaj albo jutro ruszą naprzód i odnajdą właściwą drogę. To, do czego dochodzi Stehlik, jest — poza sztucznym przyklejonym optymistycznym zakończeniem — obrazem życia poruszającego się w istocie w jakimś zamkniętym kręgu, nie zaś poetyckim uchwyceniem sił, które posuwają życie naprzód. Należy we współczesnym czeskim dramacie bronić i obronić przed wszystkimi ewentualnymi nowymi obrońcami rutyniarskiego i wygodnego „lakiernictwa“ — dążenie, z którego wyrosła i ta sztuka: dążenie do tego, aby mówić o sprawach prawdziwych, aby ukazywać życie ze wszystkimi jego poważnymi problemami, dramatycznymi spiekami i sporami. Chodzi jednak o to, aby dramaturg nie zadowalał się tylko zbieraniem tych czy innych konfliktów życiowych, strzępów i skrawków prawdy, lecz aby wyraził w mocnym dramatycznym skrócie całą i pełną prawdę naszego życia, prawdę dzisiejszego człowieka.

„OBRAZY Z ŻYCIA“ CZY PRAWDZIWI DRAMAT?

Na przykładzie ostatniej sztuki Stehlika możemy w ścisłym związku z jej niedociągnięciami ideolo-

(Dokończenie na str. 7)

Z poezji słowackiej

JAN SMREK (ur. 1898)

BALLADA ŁAKOWA

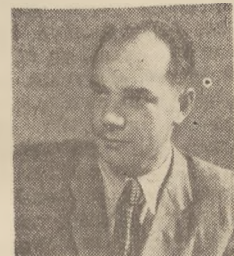


Zaświergotały ptaki: pójďte żąć...
A serce łaki skryte w mszanej darni
zaczęło bić w gorące i miazmy.

Wiedziały kwiaty, że je przyjdą ściąć,
że przyjdą dziewczki wesole i bose
niosące w rękach swych księżycy sline,
w uszach złośliwość, śpiewki wielgłose,
w oczach swawolę, uśmiechy niewinne.

Zaświergotały ptaki jeszcze raz
i właśnie niebo smagnął zorzy pas,
a nóż księżycy spadał w dół ku ziemi.
To był świtanie, to był śmierci czas.
Kwiat z kwiatem obaj się i czekał niemy.

A potem kapłel się zaczęła woni
i huf różowych dziewcząt jak szalony



Stary Wag toczył swoje ciemne wody
Wilgotnym chłodem, przez upały parne,
Zamczysk ruiny i wiejskie zagrody
Mijał — doliną Komarna.

Huczy mi w głowie bełkotliwie gada
jak zapomniana, zamierzchnia ballada
W której sół potu z sobą też się miesza.

Plowy Wag, czai się żywioł — nieboskłon
bez jednej gwiazdy — ta nocą bez światła,
grozi odnetem śmierci śpiącym wioskom
skąd wystraszone uleciało ptasze.

Słowacja tuli się wioskami
przy strumyńskim skłoniach,
Błogosławiona błyskawicami
Błyskawicami błogosławiona.

*

Z czerwonej gwiazdy na picirsi stalowej
Biegnie zdyszana lokomotywa,
A woni rosistej doliny Wagowej
Rzeźwym strumieniem przez okna przepływa.

W dali zostały wśród zieleni winnice
Podnóża stoków wyżej Bratysławy,

nóżki swe kapel w krwi najświeższej kwiatów.
I plaki widząc to z niebiosów toni
zaświergotały: lato, lato.

A ktoś stał obok patrząc na ten dramat.
U nóg mu martwa już leżała trawa
i pszczoły od niej odleciały smutne.
Hej, bosonogie dziewczęta okrutne,
po coście przyszły? — A one się śmiały.

PIEŚŃ O TWOIM IMIENIU

Skreśliłem imię twe na piasku,
lecz się i miłość nie ustrzeże:
przeszła po nim noga barbarzyńcy.
Teraz na brzoze tnę je w słońca blasku
i plakom strażę powierzę.

Obok przepływa szmaragdowa rzeka,
ty się zwierciadlu jej połączisz
i gdy w jej głębiach cały się zanurzę,
ustami dotknę najlaskawszych smużek,
na których świecisz.

Przełożył K. A. Jaworski

JAN KOSTRA (ur. 1910)

NAD WAGIEM

Ze wstęgą Wagu przepłoty się szyny
I nie rozłączą się aż do przeprawy

Przez miejsca dla mnie najdroższe na globie.
Ileż to razy w głuchym kół tętnięcie
Patrzając przez okno przysięgałem sobie
Ze wiersz napiszę najpiękniejszy w świecie

Ach wychylała się szalona głowa
Pod różę wiatrów, młyn wierszy wirował
Grajze do tego, do tego zakrętu
Grajze mi Wagu wśród wierzbowych prętów.

Wletrze rozwiewają włosy — zboża muska
I czochoj głogi na między trawistej,
Znajdziesz tam tylko ślady po skorupkach,
Piskielą dawno uleciały z gniazdek...

Gdzież jest ten strumień
Żyłka na mapie błękitnieląca?
Dopóki czas nas nie postrąca —
Rozumiesz.

Przy torze nasyp faliuje kwieciasty.
Od niego poprzez pół kapusty tęczę
aż po strumienię urwisk kamienistych
Niewysłowienie kochałem z młodzieńczą

siłą tę ciemną jak kochankę pierwszą.
Później gdy człowiek traci czym się żywił,
W szeregi kaze stawać złudnym wierszem
Na alarm uczuć i myśli fałszywy.

Najpiękniejszego wiersza na świecie
Ja nie napiszę. Inni poci
Już go piszą z odwagi, serca, stali, ziemi.

Przełożyła Mieczysława Buczkówna

WOJCIECH MIHALIK (ur. 1926)

ARS POETICA

(Fragment)



Raz pewien zły przyjaciel, miłość nieprawdziwą,
Czy biurokrata — serce poety zranił.
Na piersi krwi gorącej kropelka błysnęła.
I oto z głowy, w której broń swą przechowywał,
wiersz się zrodził wspaniały, choć w bolesnej chwili,
w bólu, który sprawiła zdrada przyjaciela.

Tu znawcy z bożej łaski jak nie zaczęli krzyżeć:
— On hamuje entuzjazm klasy robotniczej!
Prezentuje nam tutaj poetycką rozpacz;
To głos nie kolektywny, tak nie może zostać!

Lecz śladu tych, co chodzą wciąż w Muz aureoli,
co wietrzny nowy etap — czy aby pozwoli? —
zapomnianych geniuszów tłum krążący w matni,
krocie zbiorników żółci, marnotrawnych synów,
tłum magów słowa oraz ciżba arelików,
harfistek, co na trąbie grywały ostatnio
i całe tłumy ich klientów,
tłum poetyckich konceptów,
zdraciów sumień, czereda obłudników duma,
co się skryli w załoczce, nie chcą awantury,
gdy w poczci do boju zadzwiczeła surma,
całe stadko dobrane, choć z różnych parafii,
omal nie wyskoczyło, ciesząc się, ze skóry:
— Popatrzcie, oto poeta, który
i o rozpacz już pisać potrafi!

Więc miłosne zawody miewają już częściej,
a rzeka też zagraża już powodziami
i kwiały liry poetyckie co dzień
szczęściem, że oto mamy już nieszczeście!
Nawet w żmudnych stękanach na zadany temat
nie jedna się żałobna biel chryzantema.

Poeta, plewca szczęścia, nagle dostrzegł watek,
od którego poemat dąłoby się zacząć
i — zgodnie z modą — zapragnął rozplątać
wszechświatowe problemy czolowych rozpacz.
Lecz gdy rzeka żalości chciała zalać nas tu
i grabarze tonieli wraz z rozpaczą czarną
wówczas strach paru innych ogarnął
i pobiegli na łączkę pełną byle chwastów,
garściami, jak popadło, zielska naszarzali
i wnet pozanosili wszystkie
do każdej fabrycznej hali
zamiast liryki osobistej.

Oto wiersze, w których nie płonęła troska,
Kwiat nie pachniał, mruknąłby i maj stąd.
Sznucego to kwiaty. Rozpacz?
Mazgajstwo!

Mówmy poważnie, spraw jest wiele.
Porozmawiajmy, przyjaciele.

Nie każdy dzień radość przynosi światło,
I taki dzień się zdarza, co się we łzach przeżywa.
Nie każda praca bywa łatwą,
a śpiew dla ludu — najtrudniejszy.

Przełożył Jerzy Ficowski

A. J. LIEHM
publicysta i krytyk filmowy

O problemach czechosłowackiej kinematografii

W czasie, gdy na łamach „Literarnich novin” i miesięcznika filmowego „Film a doba” toczyła się poważna dyskusja o problemach i brakach naszego filmu, na festiwalu filmowym „Biennale” w Wenecji kinematografia czechosłowacka odniosła największy od roku 1947 sukces międzynarodowy (kiedy to, jak pamiętamy, przyznano Czechosłowacji m. in. wielką nagrodę „Biennale”, nagrodę za najlepszy film kukielkowy, nagrodę za najlepszy film rysunkowy i nagrodę za film dla dzieci). Z ośmiu filmów, zgłoszonych w tym roku przez Czechosłowację na festiwal w Wenecji, odznaczenia uzyskało siedem, wśród tego na przykład wielką nagrodę za film dla dzieci i młodzieży („Podróż w prawki”, reż. Karol Zeman) oraz wyróżnienie za najlepszy w konkursie dobór filmów dokumentalnych i popularno-naukowych. Niejednemu zapewne przychodzi na myśl przysłówie, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Przyrzawszy się jednak bliżej zagadnieniu stwierdzimy, że sprzeczność pomiędzy Wenecją a tezami wynikającymi z dyskusji jest pozorna.

W roku bieżącym pod znakiem zwycięstwa Czechosłowacji stało przede wszystkim tzw. „małe Biennale”, czyli: konkurs filmów dla dzieci i młodzieży oraz konkurs filmów dokumentalnych i popularno-naukowych. Na tym polu — zarówno w opinii światowej, jak i naszym zdaniem — zaszczytna pozycja filmu czechosłowackiego jest najzupełniej bezsporna. Zaznacza się tu wyraźnie celowość upaństwowienia kinematografii czechosłowackiej: w Czechosłowacji przedwojennej praktycznie wymienione rodzaje produkcji filmowej właściwie nie istniały. Dziś ludzie pracujący na tym ważnym i w pewnym sensie nowatorskim odcinku produkcji i pomocy państwa. Zgrupowana wokół studium filmu rysunkowego garstka entuzjastów, tworząca istotną, koleżeńską kolekcję, opanowała potrzebą technikę rzemiosła, nie popadając równocześnie w rutynę tego rzemiosła, lecz używając go wyjątkowo jako środka do śmiałych osiągnięć artystycznych, nadała naszemu filmowi rysunkowemu — poza wysokim poziomem technicznym — wyraźny, własny, narodowy charakter.

Podobnie przedstawia się sprawa i z filmem kukielkowym. Pozytywna w wynikach okazała się i ta okoliczność, że od początku niemal istniały dwa studia filmu kukielkowego: w Gottwaldowie i w Pradze. Skupily one p. onierów tej gałęzi wokół dwóch wybitnych, odmiennego typu artystów, kroczących dwoma różnymi drogami — Karola Zeman i Jerzego Trnka. Znaczenie tego faktu dla rozwoju naszego filmu kukielkowego doceniono ostatecznie, jakkolwiek czasem pojawiały się tendencje — zwłaszcza w krytyce — do przeciwstawiania jednego drugiemu, a także odmawiania tak jednemu jak i drugiemu prawa reprezentowania własnego, bliskiego mu wyrazu artystycznego. W studio praskim Trnka pracował nie sam: wychował całą grupę doskonałych pracowników — dziś można już mówić o jego szkole. (Największym dotychczas sukcesem współpracowników Trnki był film reż. Pojara: „O kieliszek za wiele”, nie tylko z entuzjazmem przyjęty przez widzów, ale i odznaczony w roku ubiegłym na festiwalu w Cannes). Także i Zeman, obok którego w Gottwaldowie pracowała już samodzielnie Hermína Tyrlova, przekazuje specjalne zadania artystyczne wyszkolonym u jego boku młodym artystom. To też czechosłowacki film kukielkowy opiera się nie tylko na osobach Trnki i Zemana — jakkolwiek są to w dalszym ciągu najwybitniejsi jego przedstawiciele. Film ten posiada wszelkie dane, że swą przodującą pozycję utrzyma i na przyszłość.

Studio filmów popularno-naukowych (na razie znacznie wyraźniej, niż cierpiące w ostatnich latach na chorobę długiego metrażu) studium filmów dokumentalnych) to trzeci warsztat twórcy, który dla naszego filmu był i jest poważną pomocą w zdobywaniu szczytowych sukcesów i rozszerzaniu sławy tego filmu szeroko poza granice kraju. Twórcy czechosłowackiego filmu popularno-naukowego (z całej plejady wymienimy nazwiska: Vozsahlka, Hubacka, Stanka, Fuksa, Calabka, Lehovca, a także i Novotnego, który w Gottwaldowie stworzył już pewną tradycję, zwłaszcza w zakresie filmów instrukcyjnych), wytworzyli nowe, artystyczne formy wykładu naukowego; dzieła ich posiadają wyraźny, specyficzny charakter.

Bardziej szczegółowo omawiam te galeje twórczości filmowej — może mniej cenne na innym terenie, dla filmu czechosłowackiego jednakże niestwierdzenie ważne — nie po to, by mówić czytelnikowi polskiemu o naszych sukcesach. Wydaje mi się po prostu, że poprzez te sukcesy łatwiej będzie zrozumieć nasze bolączki i problemy filmu długometrażowego. W emawianych wyżej rodzajach filmu pojęcie znanego „kainowego pletna przeszłości” nie istniało w ogóle, tam młodzi pio-

nierzy zaczęli z entuzjazmem budować na całkowicie wolnym terenie. Natomiast czechosłowacki film długometrażowy przejął w spadku nie tylko obszerne, dobrze wyposażone atelier, doświadczonych techników, operatorów i reżyserów, ale także i cały błąd fatalnego dziedzictwa, jakie przed wojną (a rzecz prosta i w czasie wojny) nazywano „dżunglą na Barrandovie”.*) Nie będę przytaczał historii walk o zlikwidowanie tego dziedzictwa, jednakże zapominając o nich nie wolno, zarówno bowiem sukcesy jak i niepowodzenia w tych walkach złożyć się na ukształtowanie charakteru i problematyki naszej kinematografii. Podczas gdy trzy uprzednio wymienione galeje produkcji filmowej rozdziły się z entuzjazmem nowych ludzi, w filmie długometrażowym komercyjny i rzemieślniczo-techniczny stosunek dawnego Barrandova do twórczości filmowej trzymał się długo i uporczywie, jego pozostałości dziś jeszcze tu i ówdzie pokazują rogi.

Z rewolucyjnej konieczności stopniowej likwidacji wszystkiego, co w dziedzictwie tym było złe, powstała konieczność zbudowania takiego aparatu gospodarczego i „artystycznego”, który nie dopuściłby do recydywy dawnej choroby. Aparat ten w ciągu ostatnich lat dziesięciu podlegał niejednokrotnie reorganizacji, a jednak — pomimo wszelkich przemian — nie docenił wagi tej zasadniczej konieczności. Tymczasem zjawili się już nowi artyści, którzy wykręśli z okresu młodzieńczego dojrzenia pragnęli realizować własne poglądy, zdobyć się na własny wyraz artystyczny, iść przeciwko i wytyczać filmowi nową, niekonwencjonalną drogę. Rzecz oczywista, że ludzie ci znaleźli się w konflikcie z metodą dotychczasowego kierowania pracami filmowymi, której tak sposoby, jak i aspekt zasadniczy nie odpowiadał nowej sytuacji. Dlatego też film nasz przeżywa dziś okres energicznego — przebiegającego często nie bez starć i konfliktów — torowania nowej drogi, wydobycia się ze starych, przeżytych form. Zdrowy ten i logiczny proces — którego rezultat nie budzi wątpliwości — odbija się rzecz prosta na nakręcanych filmach: noszą one wyraźne piętno to nowych, to starych metod; w większości wypadków są dokumentem konfliktów między obu tendencjami, konfliktów rozwiązywanych na razie drogą pewnych kompromisów. Nie chodzi więc dziś o to, jak wyglądać będzie nowa struktura organizacyjna — obecnie już nieodzowna — ale o to, by duch jej, cele i zadania były inne, różne od tych, w imię których rozdziły się wszystkie poprzednie struktury organizacyjne.

stępuje tu w formie bardziej zawoławanej, często niezbyt wyraźnej, tym trudniej więc wykryć go i zlikwidować.

Sprawę komplikuje fakt, że celowe zasady walki ze schematyzmem i liberalizmem, z lakiernictwem i bezkonfliktowością (określen tych używam w nadziei, że dla czytelnika polskiego mają one konkretne znaczenie, jako określenia powszechnie znane) w większości wypadków były u nas tylko deklarowane — i to nie tylko w filmie — nie pochodziły one z ram szeroko zakrojonych dyskusji, z gwałtownych starć odmiennych zapatrywań. Faktem jest, że rozmaici pracownicy filmowi wciąż jeszcze mają pewne wątpliwości, nieraz fałszywie interpretując słuszne zasady. Przykładów nie trzeba szukać daleko. Oczywiście, Czechosłowacja posiada nie tylko filmy, w których nieludzkie tendencje ujawniają się w sposób tak jaskrawy, jak w filmie „Botostroj”, K. M. Valló lub w filmie „Srebrny wiatr” reż. Wacława Krszki. Jeden z naszych najlepszych reżyserów, Jerzy Weiss, nakręcił niedawno film: „Puntia i jego czwórka”. Wraz z scenarzystą O. Hoffmanem tak obawiali się niebezpieczeństwa „schematyzmu”, że z filmu o dzieciach współczesnych, o współczesnej szkole wyłączyli organizację pionierską i konkretnie biorąc — te wszystkie problemy, które składają się dziś na życie naszej szkoły, dzieci i nauczycieli. W ten sposób powstał film pod względem reżysemkim i technicznym bardzo miły, jednakże ideowo wypaczony, jeśli chodzi o obraz rzeczywistości dnia dzisiejszego. Inna niejasność zarysowała się w naprawdę piękny film „Jan Hus”, reż. O. Vavra. Wychodząc ze słusznej zasady, że walka Husa ściśle się wiąże ze stosunkami społecznymi średniowiecznej Pragi, autorzy jej zadowolili się tym, że stosunki te zilustrowali we wstępie do filmu w sposób żalony, przypominający wszelkie recepty schematyzmu. Niestety, poszli jeszcze dalej: w ostatniej fazie nakręcania „uzupełnili” film obrazem stosunków na wsi czeskiej w sposób, który wcale zaszczytu nie przynosi artystom tej miary, co Vavra i jego scenarzysta Kratochvíl. (Podobnie także został „poprawiony” bardzo dobry film Krejczyka „Frona”).

Dla rozwiązania problemów, z jakimi borykają się dziś nasi artyści filmowi — pragnąc wyprowadzić naszą twórczość filmową z pewnego impasu, w jakim się ona w ostatnich czasach znalazła — znacznie więcej niż dotychczas mogłaby zrobić krytyka. Wiosną tego roku na ekranach naszych kin zjawił się film reżyserów: Kadara i Kłosa — „Muzyka z Marsa”. Autorzy tego filmu zwrócili na siebie uwagę publiczno-

cyjnej, jak przede wszystkim atmosfery panującej w naszym filmie. Po drugie — przejawili się w niej jednomyślny niemal postulat widzów: bliżej prawdy realnego życia, głębsze spojrzenie na naszą rzeczywistość, mniej konwencji literackiej i filmowej, więcej świeżości, własnego widzenia i odważnego nowatorstwa. Ostatecznie stwierdzono, że najbardziej zafascynowani pod względem scenariuszy: dział ten należy — przy jak najszybszej współpracy naszych literatów — dźwignąć na znacznie wyższy poziom, o ile wszystkie wymienione postulaty mają być zrealizowane w najbliższym czasie.

Czechosłowacki film posiada po temu odpowiednie siły. Bardzo wielu naszych reżyserów (Krejczyk, Vavra, Kadar, Kłos, Bahna, Weiss, Krszka i inni), operatorów (Stallich, Tuzar, Hanusz, Peczenko, Novotny, Roth i inni), dowiodło w przeszłości, a umie dowieść i dziś, swego mistrzostwa. Należy tylko powiększyć ich szereg, włączając wielu młodych, utalentowanych artystów, skierować ich uwagę na najpoważniejsze zadania, na smielsze obrazowanie rzeczywistości, na ujmowanie prawdziwych problemów, nie zaś ich fikcji. Kinematografia nasza musi stworzyć takie dzieła, do jakich jest zdolna. Nie jest to, rzecz prosta, sprawa jednego dnia. Nie będziemy okłamywali czytelnika polskiego twierdząc, że wyszliśmy już poza etap, na którym widzieliśmy dopiero — jaśniejszy niż dotąd perspektywę dalszego rozwoju, rozumiemy, co trzeba zrobić, by je urzeczywistnić. Przekucie tego zrozumienia w czyn wymagać będzie jeszcze wielkiego wysiłku; nie obojędnie się także bez walki z pokutującymi dotychczas tendencjami: zadowoleniem z istniejącego stanu rzeczy, niechęcią do przyznania się, iż potrzeba nam więcej odwagi, mniej strachu przed możliwością popełnienia omyłki lub poniesienia klęski, przed czym na nowych drogach pracy uszczęśliwić nie podobna.

I wreszcie jeszcze jeden problem. Mówiliśmy już o technicznym, powiedzmy: „materiałnym” dziedzictwie, przejętym przez naszą kinematografię po 1945 roku. Przyzwyczajaliśmy się jakoś automatycznie mówić o wysokim poziomie technicznym filmu czechosłowackiego, słusznie byliśmy dumni, że tak szybko udało nam się większość naszej produkcji przenieść na film kolorowy — a nie wiele brakowało, byśmy przegapili moment, gdy nie była to już prawda. Stwierdzenie, że rozwój techniki w latach ostatnich wyprowadził nas, wywołał nawet tego rodzaju defetystyczne zdania, które w pewnych wypadkach nie dostrzegają już w naszej technice filmowej niczego dobrego. Bez wzglę-

JÓZEF KAINAR DZIECKO JUTRA

Uczniak, berbeć nieduży
Otwiera atlas
większy od niego samego.
Palcem małym
Wodzi po mapie.
Jakie tu wszystko
pięknie pomalowane!

Tu gdzie nizin — zieleni,
całkiem jak młoda pszenica,
góry — brązowe,
pewnie są tam żrebięta,
no a ta żyłka
taka niebieska i cienka?
To woda w rzekach
Jest niebieskawa, prawda?

My się umiemy na mapach
niemal jak w domu poruszać.
My już możemy na mapach
W tym się i w owym rozczuć!
Niejedna góra
nosi zimową czapkę.
A tu na przykład lodowiec.
Tam by się kiedy wdrapać,
posłałbym zaraz do domu
pocztówkę na pamiątkę:

mamie, by ją nastraszyć
a Paulinie na szczęście.

A tutaj pluska ocean.
Aż po sam kraniec mapy.
Kapitan tam stoi na mostku
z fajki pyka i myśli
jakby się uszczęśliwić.
O tu są wyspy!
A tutaj fiord,
tu jest przylądek
tutaj znów kanał wąziutki!
A oto ląd!

Wszystko to razem
jest jedną kulą.
Co się ona nakręci!
Co naobraca!

A miast jest na niej
jest jedna kula.
Co się ona nakręci!
Co naobraca!

Uczniak się zdziwił:
„No a czyż?”

Przełożył Józef Waczków

SERGIIUSZ MACHONIN
krytyk, współpracownik „Literarnich novin”

O współczesnej poezji czeskiej

Mam wrażenie, że w Czechosłowacji podobnie jak w Polsce poezja była tym rodzajem literackim, który — z jednej strony reagował najwrażliwiej i najbardziej bezpośrednio na wielkie doświadczenia epoki, z drugiej zaś — w najostrejszej formie przechodził wszystkie choroby dziecięce i młodzieńcze wieku rodzącej się sztuki socjalistycznej.

W momencie zakończenia wojny mieliśmy wielu poetów o dużym dorobku artystycznym, jak: Vítězslav Nezval, Franciszek Halas, Jaroslav Seifert, jak Maria Pujmanová, w Polsce znana przede wszystkim ze swej twórczości poezyjnej, jak — dalej — Włodzimierz Holan i Franciszek Hrubin, którego „Hiobowa noc” była jednym z najbardziej wstrząsających utworów o czasie okupacji.

W pierwszych latach po wojnie poezja nasza żywotowo i spontanicznie podjęła nową problematykę naszych czasów, dawać zaczęła wyraz socjalistycznym treściom naszego życia. Nie obyło się przy tym bez wielu artystycznych nieporozumień. Młodzi poeci, podkreślający dobitnie swoją rewolucyjność, nie zawsze wykazywali należyte opanowanie pisarskiego rzemiosła i należyte wycucie tego, jakimi środkami winien posługiwać się poeta, chcąc wyrazić w swych utworach nowe zjawiska społeczne. W latach 1948–1951 coraz ostrzeżniej występować zaczęło w naszej poezji niebezpieczeństwo schematyzmu, uproszczonego spojrzenia na życie i sztukę. Odczułszy wówczas dotkliwy brak dojrzałej krytyki, brak takich jej reprezentantów, jak: Fuczik, Vaclavek, Konrad, Urš, Sverma i inni, którzy zginęli w czasie wojny.

Krytyka nasza skłonna była wybaczyć wszystko poetom, którzy z zapałem i entuzjazmem sięgali po nową „produkcyjną” tematykę, równocześnie zaś ganiła, odpychała i wywoływała gorycz starszej generacji poetyckiej, która w sposób nie zawsze może konsekwentny ideowo, ale znacznie dojrzały artystycznie poszukiwała nowych dróg dla współczesnej tematyki w poezji. Niekiedy wręcz propagowała lakiernictwo, tłumiła głosy wołające o pełny poetycki obraz życia, bez zacieraania jego trudności i konfliktów. Utało się przekonanie, że poezja ma stawiać naszą rzeczywistość, a krytyczne spojrzenie na nią jest podsuwaniem argumentów dla wroga.

Te schematyczną poezję i schematyczną krytykę poddał rzeczowej ocenie IX Zjazd naszej partii. I po nim nie od razu doszło jednak do szerszej wymiany poglądów na temat właściwego rozumienia zadań naszej nowej, socjalistycznej literatury. Nastąpiła natomiast recydywa estetyzmu, bezideowości, ucieczki od problematyki współczesnej. Dopiero w lipcu ubiegłego roku na zorganizowanej przez Związek Literatów ogólnokrajowej konferencji na temat poezji przeanalizowano głębiej niedomagania twórczości poetyckiej lat ostatnich. Wnioski, do których dyskusja doprowadziła można by — upraszczając je nieco — streścić w stwierdzeniu, że bezideowość, brak głębszej myśli i twórczego spojrzenia na życie jest źródłem zarówno złych wierszy o tematyce „produkcyjnej” (u nas określa się je mianem „frezerskich”) jak sielankowej literatury, którą nazywamy „koulalicką”. Oba te zjawiska wynikają z uproszczonego, schematycznego poglądu na życie — różne są jedynie rekwiizyty. Rozwój czeskiej poezji ostatniego dziesięciolecia zdecydowanie potwierdza, że o osiągnięciach poszczególnych poetów rozstrzyga zarówno skala ich talentu, głębia ich uczuć i myśli, jak zajęcie przez nich stanowisko ideowe. Socjalistyczny charakter utworu wyrażać się może w

różnych formach, błędem jest zacieśnianie go do jakichś wąsko tematycznych kanonów. Toteż raczej przeszkodą w rozwoju tej poezji są wszelkie jej niepowołani „karcie”, urzędniczy krytycy, samowładczy strażnicy ideowej i politycznej „bojowości” literki. Bez ich pomocy, bez ich wulgarnych recept, powstanie poezja lepsza, bardziej ludziom potrzebna, istotnie partyjna.

Ileż było u nas sporów o poezję Nezvala, jednego z najwybitniejszych naszych artystów! Ile złego widzieli w niej ludzie nie umiejący dojrzeć skomplikowanej drogi rozwoju tego poety. Na podstawie opublikowanego w czechosłowackim numerze „Nowej Kultury” poematu „Chabry i miasta” polski czytelnik zorientuje się może chociaż w przybliżeniu jaki typ literki uprawia Nezval. Zapozna się on też z subtelną literką Jaroslava Seiferta i z poezją Franciszka Hrubina, jednego z najgłębszych i najbardziej czeskich poetów współczesnych. Mam nadzieję, że przemówią również do czytelnika polskiego piękne wiersze Vilema Zavydy — swą prostotą, serdecznością ludzkim tonem i głębokim liryzmem. Godny uwagi jest rozwój twórczości Józefa Kainara, autora pięknego zbioru literki pt. „Czeski sen”, z którego pochodzi drukowany w „Nowej Kulturze” wiersz „Dziecko jutra”.

Odrębną pozycję, której poświęcić należałoby specjalny artykuł stanowi rozwój współczesnej literki słowackiej. Reprezentowana jest ona w „Nowej Kulturze” trzema nazwiskami — Jana Smreka, Jana Kostry i Wojciecha Michalika. Jest rzeczą zrozumiałą, że na łamach naszego numeru trudno ukażać naszą poezję — w pełnym wachlarzu nazwisk. Zadanie to spełnić powinna w Polsce obszerna antologia literki czeskiej i słowackiej.

Z twórczością dziś poetów nie powinno tam zabraknąć Marii Pujmanovej, jak również wypróbowanych przyjaciół Polski — Franciszka Branislava, Jana Pilarza i Franciszka Nechvatala.

Dla informacji wymienię jeszcze — z poetów średniego pokolenia — Ivana Skale, którego literka zbliża się w swym charakterze do literki Vilema Zavydy, a także wyróżniających się poetów najmłodszej generacji, jak Milan Kundera, Miroslav Florian, Paweł Kohout, Jerzy Fried, Miroslav Czerwenko, Jerzy Stodola. Każdy z nich ma w tej chwili za sobą jeden lub dwa zbiory poetyckie, które cechuje głęboka ideowość, a zarazem powaga i szczerze poszukiwania własnej drogi poetyckiej.

Trudno w krótkim artykule informacyjnym wymienić wszystkich autorów i omówić wszystkie problemy naszej współczesnej poezji. Są to zresztą problemy podobne — jak zdołałem stwierdzić — do tych, które nurtują współczesną literkę polską. Myślę tylko, że zbyt mało zrobiliśmy dotąd dla wzajemnego poznania. Jakże niewiele wie polski czytelnik o czeskiej i słowackiej poezji. Nawet w środowisku kolegów pisarzy polskich zetknąłem się z bardzo mglistymi pojęciami o niej, ograniczającymi się do znajomości nazwisk Vrchlickiego, Wolkeera, Bezrucza. Muszę powiedzieć szczerze, że u nas jest pod tym względem lepiej: mamy doskonałe przekłady Tuwima, Gałczyńskiego, Broniewskiego, czytamy i znamy — choćby we fragmentach — wiersze Staffa, Słonimskiego, Dobrowolskiego, Różewicza i innych poetów aż do najmłodszego pokolenia. Oczywiście i my wiele jesteśmy wam dłużni. Czekam więc na, jak sądzę, wiele pracy dla wzajemnego zbliżenia i coraz lepszego zorientowania naszych czytelników w tym, co każdy z naszych narodów reprezentuje najpełniejszego w pięknej sztuce poetyckiej.

Sergiusz Machonin



Reż. Jerzy Trnka. Film kukielkowy „Stare legendy czeskie”.

Podobnie jak w literaturze, tak i w filmie czechosłowackim wystąpiły jaskrawo wszystkie skutki niemożności problemów metody realizmu socjalistycznego. Przeszliśmy okres „schematyzmu” i okres „liberalizmu” oczywiście ze znacznym w stosunku do literatury opóźnieniem. I właśnie te spowodowane okolicznościami produkcji opóźnienia wywołały niejedno nieporozumienie, stały się przyczyną niejednej burzy. Kiedy problem schematyzmu w literaturze został już (przynajmniej w zasadzie) wyjaśniony, zaczęły się pojawiać schematyczne filmy; kiedy ludzie byli przekonani, że problem liberalizmu został już załatwiony, zaczęli on występować w formie jaskrawej w nowych filmach. I niejedną z widzów z faktów tych wysnuwał wnioski, że w filmie szkoliliwe tendencje utrzymują się jakoś bardziej uparcie, że tam wykorzenione jest znacznie trudniej — jakkolwiek wchodziło tu w grę po prostu ściślejsze wzajemne powiązanie wszystkich czynników produkcji filmowej. Jest rzeczą oczywistą, że wobec wszystkich czynników hamujących, na jakie napotyka film w drodze od noweli do ekranu, fałszywe i artystyczny rozwiązań wy-

ści, tak u nas jak i zagranicą, już w roku 1952 filmem „Porwanie”, który należy istotnie do najlepszych, jakie u nas kiedykolwiek były wyprodukowane. Ostatnio idąc za przykładem radzieckich komedii muzycznych G. Aleksandrowa, nakreślił frywolną fantazję muzyczną, która jest zarazem próbą satyry na pewne negatywne przejawy naszego życia współczesnego. Zdania co do tego filmu były różne. Jedni potępili go za bezapelacyjnie — jako wypaczenie naszej współczesności — inni — entuzjastycznie — nim bez zastrzeżeń. Sprzeczne opinie ukazywały się w formie bardziej czy mniej szczerzej w prasie, ale na tym się skończyło. Do dyskusji szerszej nie doszło, okazała wymiana zdań nie tylko w związku z tym dziełem filmowym, ale i z punktu widzenia ogólnych zasad i kryteriów, z jakimi do naszych filmów podchodzić należy, została zmarnowana.

Dyskusja o problemach czechosłowackiego filmu, która przez trzy miesiące toczyła się na łamach „Literarnich novin” wskazała pewne fakty, które na pewno będą charakterystyczne dla rozwoju naszej kinematografii w najbliższym okresie. Z dyskusji tej wynika — po pierwsze — wspomniana już konieczność zmiany zarówno struktury organiza-

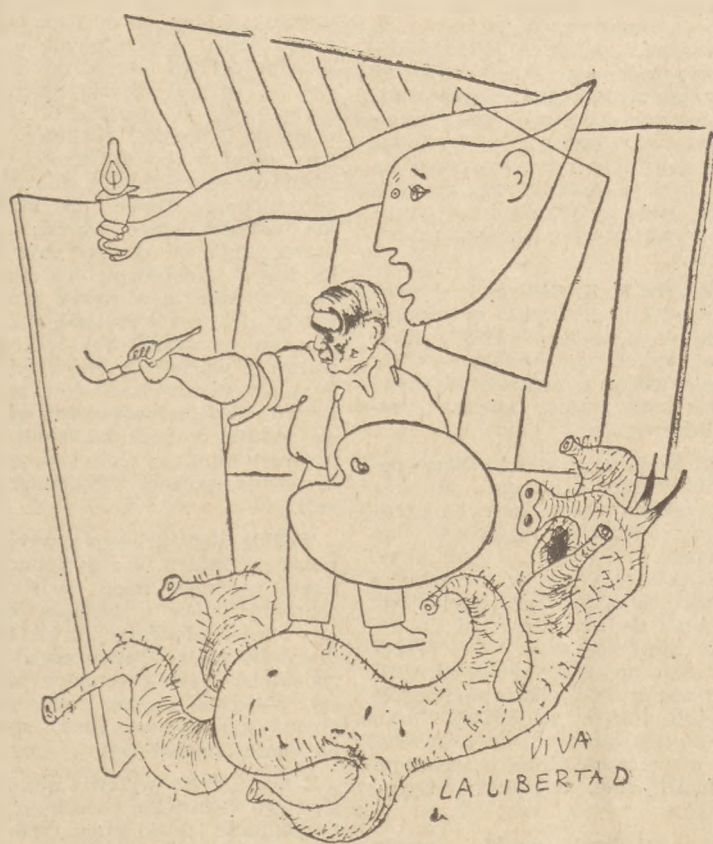
du na te zdania przyznać trzeba, że pomimo wielkich możliwości i świetnych warunków uprzemysłowionego kraju o rozległej produkcji filmowej, w technice filmu długometrażowego w skali ogólnowiatowej jesteśmy opóźnieni — chociaż mam prawo przypuszczać, że kinematografia polska, która zaczynała z pustymi rękami, znacznie mocniej alarmuje dziś w kwestii stanowczego i szerszego wykorzystania nowych możliwości technicznych, niż kinematografia czeska.

Obowiązuje tutaj to samo, co powiedzieliśmy o problemach ideowo-artystycznych: nie zamykamy oczu na problemy i braki, wypowiadamy walkę beztrudnie. Na wykresach naszej sztuki filmowej wyraźnie zaczyna się rysować czerwona strzałka, wskazująca kierunek głównego natarcia. Oczywiście: niecierpliwość przed każdą wielką ofensywą jest zawsze złym doradcą. Rozumiemy, że skoncentrowanie chociażby wszystkich ludzkich i materialnych zasobów na szlaku głównego ataku wymagać będzie pewnego czasu. Nie lekamy się jednak: kinematografia czechosłowacka odnieść zwycięstwo w walce o filmy, jakich domaga się od nas naród i jakich ma prawo oczekiwać świat.

A. J. Liehm

*) Barrandov — miasteczko filmowe w Pradze.

Z teki karykatur Adolfa Hoffmeistra



Pablo Picasso



Jorge Amado i Pablo Neruda



Charlie Chaplin



Vítěslav Nezval

JERZY R. PICK AFORYZMY

ARTYKUŁ WSTĘPNY

Wyznaczam kierunek. To, czy mnie ktoś czyta, jest drugorzędne.

ŻÓŁW

Prześcignąłem już dwa ślimaki.

OLÓWEK

Zapisałem się na wieczne czasy w historii literatury.

SPÓŹNIONY POCIĄG

Walczę ze schematyzmem w komunikacji.

POLNY MAK

Oczywiście, moja czerwien im się nie podoba.

DYWAN

Takie czasy, teraz byle kto po mnie chodzi.

SAFES

Ja mam skryty charakter.

PLUSKWA

Człowieka poznasz najlepiej w łóżku.

DZIAŁO DALEKONOŚNE

To niemoralne zabijać z bliska.

WŁAŚCICIEL FABRYKI ZBROJENIOWEJ

Zagwarantuję mi zwiększenie sprzedaży kulomiotów drogą pokojową, a stanę po waszej stronie.

GŁOS AMERYKI

Nasze informacje są zupełnie obiektywne. Na przykład zapowiedź pogody.

MYSZ

Kiedy z kota straszny dogmatyk.

KARTOTEKA

Chodzi o to, aby odzwierciedlać życie w całej jego różnorodności.

KOŃ

Kłapy na oczach? Nic podobnego. Widzę to, co najważniejsze.

Przełożył Stefan Dębski

PIOTR KARVASZ

W Y C H O W A N I E



Piotr Karvasz, prozaik słowacki, autor tłumaczonej w Polsce powieści „Pokolenie”. Drukowane opowiadanie pochodzi ze zbioru opowiadań wydanych pt. „Czert nespil” (Diabeł nie śpi).

Istnieje takie surowe prawo, że ojców przy pracy nie wolno przeszkadzać. Prawo to obowiązuje zawsze, nieodwołalnie i bez zastrzeżeń, oprócz pewnych wyjątków... których jest chyba milion.

Otwierają się drzwi i z pełną skruchy miną staje w nich mój pan syn. Zdaje sobie sprawę z wagi swego przestępstwa, ale nie może... absolutnie nie może się opanować. Wskazujący palec na dolnej wardze, jak gdyby się zastanawiał, od czego tu sprytnie zacząć, długie rzęsy jakby pod ciężarem grzechu opuszczone nisko. Wreszcie decyduje się, wzdycha głęboko i bardzo cicho, tyle tylko by zagłuszyć stukanie maszyny do pisania, zaczyna:

— Tatusiu...
Złynam się zniecierpliwiony, ale to sytuacji nie zmienia. Spoglądam na stojącego w drzwiach potomka — chłopak wie, że będzie nie do brzo, ale nie może, nie potrafi się opanować.

— Ile razy mam ci powtarzać...
— zaczynam podniesionym tonem.
— Tak — odpowiada pośpiesznie — ale tym razem to bardzo ważne. Naprawdę! Słowo daję, że to bardzo ważne.

Słowo tak dużego chłopaka to już istotnie ważna rzecz. Zrobiłem możliwie najobojętniejszą minę i jak człowiek, którego odpowiedź na stawiane pytanie najzupełniej nie interesuje, spytałem:

— No, o co chodzi, tylko szybko.
Syn zdobył się na odwagę, zamknął drzwi i podszedł do biurka. Podniósł oczy i zupełnie nieoczekiwanie oświadczył:

— Tatusiu, wychowuj mnie trochę!

egzamin z pedagogiki. Istotnie była tam o czymś mowa, ale o czym, już dokładnie nie pamiętam. Spojrzałem bacznie na syna.

— Widzisz — zaczął — już nie pracujesz. — Mógłbyś mnie wychowywać choć chwileczkę, naprawdę. Choćby tylko małą chwileczkę. Troszkę mnie wychowasz, a potem znów będziesz pracował, dobrze?

Fakt, że nie od razu zdobyłem się na odpowiedź przyjął za zgodę: usiadł na brzegu kanapy, złożył grzecznie rączki i czekał. Najwyraźniej ogromnie był ciekawy, co ja z nim będę robił — bo zasadniczo wychowanie to bardzo interesujące zagadnienie.

— Zdaje mi się, że telefon dzwoni — wtrąciłem.

Pokreślił główką. Oczywiście — nie dzwonił.

— Przy twoim wieku — zacząłem mentorskim tonem — siedemdziesiąt procent obowiązku wychowawczego należy do matki.

Oczywiście nie rozumiał, dla pewności jednak odpowiedział:

— Mama poszła do pracy.

Sytuacja była beznadziejna. Zacząłem wmawiać w samego siebie, że wydaje mi się ona beznadziejna dlatego, iż nie mam nadziei szybkiego powrotu do pracy.

— Wiesz ty co? — zapytał nagle.

Wydało mi się, że gdzieś daleko zaawitała jakaś nadzieja: może przypomniał sobie o klocek i z całym spokojem pójdzie budować instytut pedagogiczny... albo też da się przekupić obietnicą, że będzie mógł pójść się bawić do Duszanka. Ale on tymczasem mówił dalej:

— Wiesz co? Ja już wiem, dlaczego ty mnie nie chcesz wychowywać.

Byłbym się zgodził na każde rozsądne i chociaż trochę logiczne wyjaśnienie. Tymczasem syn oświadczył:

— Dlatego, że ty właściwie w ogóle nie umiesz wychowywać.

„To znowu matka” — przemknęło mi przez myśl.

— Przepraszam cię, ale to nonsens — odparłem poirytowany.

— Właśnie, że nie umiesz — tupnął nogą.

— Słuchaj no — zacząłem tracić cierpliwość — po pierwsze: żebyś wiedział, że mam egzamin z pedagogiki, po drugie: czytałem Makarenkę i w ogóle jestem człowiekiem kulturalnym, a po trzecie: mam już blisko sześćdziesiąt lat praktyki.

Nie jest wcale wykluczone, że przy tych słowach zaczerwieniłem się trochę, ale to jest kwestia bez znaczenia.

Twarzyczka synka rozjaśniła się nieco.

— Dobrze — zgodził się z szelmowskim uśmiechem. Rozsiadł się wygodniej na kanapie, oparł się, złożył ręce i rzekł: — No to zaczynam.

— Ale co?

— No, wychowywać.

— Słuchaj — odezwałem się surowo — wychowywać to nie znaczy umyć komuś uszy. To się rozkłada na długie lata, to jest bardzo skomplikowana i bardzo wyczerpująca praca...

— Ale moglibyśmy dzisiaj zacząć — zaproponowałem — dobrze?

— Do licha — oponowałem — zrozumiem nareszcie, że ja zacząłem już dawno! Czy na przykład nie narzucam ci celowo zainteresowań sprawami techniki? Kupiłem ci żuraw, traktor, kolejkę linową?

— Do licha, kupiłeś! — odpowiedział z powagą i zaraz potem uśmiechnął się. — Bo ty lubisz maszynę...

— Czy nie uczę cię miłości do języka? Nie czytam ci co dzień jednej bajeczki?

— Co dzień to nie — zauważył.

— No to co niesiść. Czy nie tłumaczę ci, że po zupie nie należy pić wody, że nie należy młaskać przy jedzeniu, że pierwsi powinni wziąć z półmiska starsi, a ty dopiero potem? Więc to nie jest wychowanie?

— A co to jest: „do licha”? — pytał syn z wyraźnym zainteresowaniem.

— To do rzeczy nie należy — zirytowałem się już na dobre — a ty pamiętaj sobie, że nie wolno ci przerywać, gdy starsi mówią, a przede wszystkim gdy mówią rodzice! Co to ja chciałem powiedzieć...

Mam wrażenie, że nie chciałem powiedzieć absolutnie nic. Nieznacznie spojrzełem na zegarek, czy przypadkiem już żona nie wraca. Zacząłem nastuchiwać, czy nie słychać łoskotu windy lub zgrzytu klucza w zamku. Ale panowała absolutna cisza. Syn z kanapy odezwał się cicho:

— A wychowywać... nie umiesz.

Pożegnałem się już z robotą, definitywnie wybyłem się resztek nadziei, że może przyjdzie ktoś z wizytą, albo że wybuchnie pożar — zasiadłem w fotelu, syna wzięłem na kolana, ojcowskim gestem pogłaskałem go po włosach i zacząłem w ten sposób:

— Człowiek jest stworzeniem żyjącym w społeczeństwie. Lecz żeby był użytecznym członkiem ludzkiego społeczeństwa, trzeba go odpowiednio wychować.

— Ja nie będę użytecznym członkiem — odezwał się — ja będę szoferem.

Była to sprawa od dawna przesądzona i zaakceptowana przez wszystkich.

— Ale szofer także jest użytecznym członkiem społeczeństwa — wyjaśniałem. — Tak jak górnik, nauczyciel, lekarz...

Spojrzał na mnie spod oka.

— I literat też? — zapytał. Przypuszczam, że poza tym pytniem nie się nie kryło.

— Naturalnie! Jakże możesz pytać o to?...

— No dobrze — zawałał się. — Możesz wychowywać mnie dalej.

— Więc tak. Lecz by ktoś mógł być naprawdę użytecznym członkiem społeczeństwa, musi być uczciwy, pracowity, uświadomiony, sprawiedliwy, dumny i życzliwy. — Naraz zauważyłem, że nie poświęca zbyt wiele uwagi moim wywodom. — Słuchasz mnie? — obruszyłem się trochę.

— Tatusiu — spytał — to i mama też jest taka... użyteczna?

— Oczywiście — odpowiedziałem, ponieważ co do tego sprawa w mojej rodzinie jest zupełnie jasna.

— A kto jest użyteczniejszy: mama czy ty?

Zdawałem sobie sprawę z nieprzewidywalnych skutków odpowiedzi na takie pytanie, bez względu na to, czy byłaby ona taka, czy też inna. Zakasalałem.

— Te sprawy są w tej chwili przedmiotem badań. Czy przypadkiem nie dzwonił telefon?

— Nie — odpowiedział. — Ale, tatusiu... czy zawsze człowiek musi być taki... rozmaity?...

— Jaki?

— No... pracowity i tam jeszcze...

— Naturalnie, że zawsze.

Chwila ciszy.

— I w niedzielę także?

— Oczywiście, i w niedzielę także.

— Ou... — był zaskoczony — a czy to jeden człowiek da radę?...

— Musi dać radę. — Widziałem, że nareszcie coś zrobiło na nim wrażenie. Trochę mi ulżyło.

— No, dobrze — odpowiedział pokornie. — Spróbuję.

— Doskonale. Więc od dzisiaj tego dnia nie skłamięś ani razu, zwrócisz Duszankowi tego pajaca, zrobisz porządek w szufladce, przeprosisz ciocię za to, że znowu jej schowałeś okulary, i umyjesz przed kolacją ręce.

— Ależ tego tam nie było! — spojrzał na mnie zaskoczony. — Tyś mówił tylko, że pracowity, dumny...

— I uczciwy! To znaczy: mówić prawdę, zwrócić pajaca, przeprosić...

— Hm... — bąknął zamyślony.

Przypuszczam, że to było ponad jego siły. Spojrzał na mnie, ale wnet umknął przed moim wzrokiem.

— Ja umyję ręce dwa razy — oświadczył — ale nie przeproszę.

— To nie byłoby uczciwie — rzuciłem cicho.

— Trzy razy... — szepnął. — I twarz, i kolana...

Byłem niewzruszony. Nie mógł pojąć, że nawet tego rodzaju ofiary nie robią na mnie wrażenia! Chwilę jeszcze zastanawiał się, potem powolutku zaunął się z fotela i ruszył ku drzwiom.

— A to dokąd? — spytałem.

— Mam pilną robotę — odparł z chmurną miną. I nagle spieszyło mu się bardzo. — A wychowywać mnie będziesz na wiosnę... — i wyszedł.

W chwilę później wróciła żona. Niby przerwawszy pilną robotę odezwał się:

— Wychowywałem tu trochę twego syna...

— Zauważyłam — odparła. — Gdy weszłam do niego do pokoju przytulił mnie: Do licha mamę co tak późno!

Przy kolacji przypominała parę razy: „Po zupie nie pije się wody, słyszysz? Nie bierz pierwszy z półmiska, poczekaj, aż wezmą starsi! Ile razy mam ci mówić, żebyś nie młaskał!”

A potem zwróciła się do mnie: — To straszne! Ten dzieciak rośnie jak dzikus. Nikt się nim nie zajmuje... Wszystko spada tylko na mnie...

Spojrzałem na syna. I on spojrzał na mnie... Przypuszczam, że się nie omyliłem: przez sekundę widziałem w jego wielkich oczach jakiś może mimowolny, a jednak wyraźny przeblask solidarności męskiej.

Przełożyła Jadwiga Bułakowska



Rys. Sekora

Człowieczek Ludwika Aszkenazego. (patrz str. 3). Tato, ja to mam do brzo. Jak będę duży, wcale cię nie będę musiał spłacać. Ty już teraz sobie za mnie zarabiasz...